Nr. 2. Styczeń. 1862.

WIENIEC



DWUTYGODNIK LITERACKI.

Wychodzi w Krakowie w połowie i na końcu każdego miesiąca w objętości najmniéj 2ch arkuszy — do których raz w miesiąc dodają się tablice z krojami, wzorkami i deseniami. Prenumerata w miejscu kwartalnie 1 zł. 50 cen. w. a., półrocznie 3 zła.— rocznie 6 zła. — Dla prowincyi z przesyłką pocztową: kwartalnie 2 zła.— półrocznie 4 zła.— rocznie 8 zła.—W królestwie pruskiem z przesełką pocztową: kwartalnie 1 Tal.,—półrocznie 2 Tal.,— roczuie 4 Talary. — Prenumerować można w **Redakcyi** w Krakowie przy ulicy Różanej pod L. 417,— w **Administracyi** dziennika „**Czas**" i w księgarni **Baumgardtena.** — Miejscowi odbierać mogą **Wieniec** w Ekspedycyi „Czasu."-- **Listy niefrankowane nie przyjmują się.**

DZIADUNIO do DZIEWIC POLSKICH.

List 2gi.

Otóż nie wołany ani proszony, jestem znów z wami ukochane wnuczki moje—ten zaś pośpiech w starcu niezwyczajny, ta pilność z jego strony w prowadzeniu rozpoczętej gawędy, niech was przekona o naglącej potrzebie, najprzód wypowiedzenia, a potem rychłej w czyn przemiany jej treści.

To co nas najbliżej a najboleśniej dolega, najlepiej wskazuje nam i obowiązkową drogę naszego działania. Dziś w narodzie naszym najdotkliwiej czuć się dającą słabą stroną, jest niezawodnie demoralizacya i brak oświaty w klasach najniższych. Śledząc i przytaczając wpływy tysiączne, działające najszkodliwiej na tę część ludności naszej—rozbierając przyczyny tamujące wszelki prawie w niej postęp, zaszlibyśmy za daleko, a może dalej jak nam wolno... poprzestanę więc li na wykazaniu złego, jakie te wpływy zewnętrzne a najniepomyślniejsze wywarły na osobistość tej klasy,—to jest lekceważenie a raczej zaparcie się że tak powiem dawnej, do ich prostego przekonania najłatwiej przemawiającej, katechizmowej, a niestrawienie nowej, wiek nasz cechującej oświaty, której okruszyny komunistyczne jako najlepiej przypadające im do smaku, przekradły się i przylgnęły do ich surowego umysłu i samolubnego wnętrza.

Zwątpienie o wszystkiem co nie jest czysto namacalne, i *chęć użycia*, dwa robaki toczące wyższe warstwy społeczeństwa, przeszły i do tej ostatniej, w sposób jej właściwy to jest dziki, bo niewstrzymywany żadnemi zasadami, bo te odrzucili bezwarunkowo; ani loiką, bo ta jest u nich spaczona; ani rozumem, bo tego im nie dostaje. Ztąd to idzie, że widujemy całe ich gromady wzdychające i łzy rzewnę wylewające na kazaniach i naukach kościelnych— a wyszedłszy zaledwo za próg kościoła, rozbiegające się jedni na grzeszne rozrywki, inni na zarobek z cudzą krzywdą, inni nakoniec na wyłudzanie grosza przez udaną nędzę lub kalectwo. Oprócz dotkliwego uszczerbku jaki interes narodu ponosi ztąd w ogólności, najprzykrzejszem jeszcze jest dla nas to, że czeladź i sługi nasze należą po większej części do tej klasy, a z niemi złączony jest ściśle nietylko dobro i byt nasz materyalny, ale spokój domowy, a zatem i spokój duszy. Słowa wymierzone z naszej strony w tej mierze do ich sumienia i do serca, choćby najszczerszą namaszczone prawdą i miłością, nietylko obijają się najczęściej jak groch o ścianę,

ale są celem ich pośmiewiska i niemal pogardy, jako wychodzące z przeciwnego im obozu; zatem odłożywszy próżne słowa, czynem wpływać skutecznie wypada, i tu jest to właśnie pole działania *dla was* wnuczki moje, pole zasłane wprawdzie więcej cierniem niż różami, ale tem samem ponętniejsze dla dusz prawych i chrześciańskich. Stowarzyszenie się w tym celu wzajemne, zaprowadzanie po miastach szkółek niedzielnych dla służących, za pomocą *bractwa*, po wsiach zaś tą samą drogą domów służebniczek Bogarodzicy — byłyby zdaniem mojem najpraktyczniejszemi czynnikami w tej mierze, nie będące jednakże ciężarem społeczeństwa, bo nie wymagają ofiar pieniężnych, i utrzymują się same z siebie. Przytaczam wam wyjątek z opisu, jaki niedawno podały nam dzienniki krajowe o tych *domach*, zaprowadzonych w Poznańskiem, i o błogosławionych prawdziwie ztąd skutkach. *)

Służebniczki Bogarodzicy, są to sobie trzy lub cztery, umiejące czytać, proste dziewczęta, córki kmieci lub mieszczan, z których każda składa na ręce miejscowego plebana ślub dobrowolny przed ołtarzem na rok lub trzy najwięcej lata. Po upłynionym terminie ślubu, wolno jej albo go powtórzyć i zostać nadal w zakładzie, lub też opuścić go, a wreszcie i pójść za mąż gdy jej się trafi, co nie rzadko się wydarza, bo nikt nie wątpi o tem, że służebnica Bogarodzicy musi być moralną, pracowitą a przytem i gospodarną, bo inaczej nie utrzymałaby się w zakładzie. — *Dom* taki służebniczek, zostający pod dozorem duchownej zwierzchności parafialnej i pod opieką miejscowego dworu, lub pewnych osób z inteligencyi miejscowej, powstaje następującym sposobem: właściciel wsi daje zwykle mieszkanie z ogródkiem, inne osoby, jedna krówkę dojną, inna wieprzka lub już gotową słoninę, inni obliczoną potrzebną ilość zboża, ziemniaków, kapusty, paszy zimowej i opału—co wszystko *służebniczki* obowiązane są odrobić dawcy w przeciągu roku, czy to przy żniwie, w ogrodzie lub przy maszynie i t.p.—Tak więc gdzie zgromadzenie z czterech się składa, dwie idą na przemian codziennie na zarobek, a dwie zostają w domu—z tych jedna gotuje, chodzi około gospodarstwa i ogrodu, druga przepędza dzień w ochronce lub w ogrodzie z dziatkami, rozmawiając z niemi, ucząc ich śpiewać pobożne pieśni, czytać, opowiadać im pismo święte, i czuwać nad ich duszą i ciałem.—Z dni zarobnych po za domem, połowa idzie na umarzanie zaciągnionego długu w wymienionych wzwyż przedmiotach, druga zaś połowa dostarcza dochodu na odzienie służebniczek— Dom składa się z komory na schowanie i dwu komnat, z tych jedna służy w dzień na ochronkę dla dziatek, w nocy zaś na sypialnią dla służebniczek, druga stancya za kuchnią. Pierwsza, to jest ochronka, opatrzona bywa w ołtarzyk z świętym obrazem, ławki do koła i prostą szafę—druga w naczynia kuchenne i gospodarskie, jakich zwykle na wsi używają— w stolik prosty, cztery stołki drewniane i ławkę. — Obowiązki *służebniczek* są następujące: noszenie w ubraniu białej i błękitnej jedynie barwy — szerzenie gdzie tylko się obrócą, słowem i przykładem czci dla Boga i Maryi N., moralności, czuwanie nad dziatkami, prowądzenie ich, nauczanie, rzetelność w pracy najemnej i domowej, porządek i czystość.

Po wsiach gdzie takie domy istnieją już przez czas dłuższy, nieobliczenie zbawienne dają się widzieć skutki — lud prosty ocenia zasługi *służebniczek*, szanuje je i wielbi, przyjmuje od nich nauki moralne i oświatę z dobrą wiarą i ochotą. I tak gdzie służebniczka pracuje z nim na łanie, ustają śpiewki światowe, niekiedy i gorszące, a w miejsce ich rozlegają się pienia pobożne, przy uczciwej pracy. — Dziatki też kochają je, gdyby siostrzyczki własne, słuchają—a powróciwszy na noc do domów, upominają często rodziców i domowników budującemi słowy, słyszanemi od służebniczki, gdy widzą lub słyszą od nich coś zdrożnego — i bywają wypadki, że takie napomnienie uroczyste małej dzieciny, jakby głos anioła bożego, pojednały poważnionych od dawna rodziców, wstrzymały przekleństwa, lub nałogowego ojca przemieniły w wstrzemięźliwego i porządnego człowieka.

Pewien zacny obywatel w Poznańskiem, którego nazwisko godne pamięci, przepomniałem niestety! założył szkółkę takich *służebniczek Bogarodzicy* to jest dom, gdzie dziewczęta kształcą się li do tego powołania — a zamówienia ich już naprzód przez osoby z rozmaitych okolic są tak liczne, że dom nie będzie nawet w stanie dostarczyć potrzebnej ich liczby. Otóż i wy wnuczki moje, pomyślcie seryo u siebie, gdzie można, o zaprowadzaniu takich *domów Służebniczek Bogarodzicy*. Chwila dzisiejsza, tak poważna, i pora zimowa, najwięcej są sprzyjającemi podobnym zajęciom— pierwsza bowiem, niedopuszczając wesela i hucznych zabaw, usposabia już sama do podobnych pomy-

---

*) Na żądanie Czytelniczek redakcya Wieńca ofiaruje się otrzymać dokładny opis takiego zakładu od szanownego proboszcza z Mielżyna w W. Ks. P., który z szczególnem zamiłowaniem i poświęceniem zajmuje się ich rozpowszechnieniem.—Podobnież dostarczyćby mogła redakcya opisu ustaw stowarzyszenia katolickiego młodzieży rzemieślniczej we Lwowie, które służyćby mogły za podstawę przyszłego *bractwa sług katolickich*, choć na mniejszy od powyższego rozmiar na początek, a którychto, jak jeden tak drugi szanowny założyciel z ochotą udzieliliby nam na wezwanie, w celu rozpowszechniania ich zbawiennych pomysłów.

słów i działań— druga zaś, będąc dla ludu wiejskiego porą wypoczynku, wolną od ciężkich i naglących zwykle prac rolniczych, ułatwia mu sposobność użycia tego czasu na korzyść swą moralną— idzie tylko o to, jakby go do tego pobudzić, w to wciągnąć, upór jego przełamać w tym względzie.— Otóż na to, wierzajcie lube wnuczki moje, doświadczeniu starca znającego dokładnie i przyrodzone usposobienie, i tak słabe jak i silne strony i wasze i ludu naszego—na to nie ma środka jak zawiązanie się w bractwo parafialne, i dopiero za pomocą tegoż wzięcie się czynne do dzieła—a siły zespolone i rodzaj zobowiązania się religijnego, ułatwi wam niezawodnie wykonanie najpożyteczniejszych zamiarów. Plan takiego bractwa, krótki lecz praktycznie skreślony podam wam w liście następującym—tu zaś dla zachęty i przekonania was, ile to przy szczerych chęciach i siłach zespolonych zdziałać można dobrego, przytoczę ustęp korespondencyi nadesłanej mi przez panią Wa....o działaniach w tym rodzaju niewiast w Anglii *). „W Bradford na zgromadzeniu: *National Association for the promotion of social „science*, miała mowę panna Berrie Parkes, wy„dawczyni angielskiej gazety dla kobiet, traktu„jącej jedynie o interesach czyli sprawie niewiast, „której to gazety współpracowniczkami i nakład„czyniami są niewiasty same. Mowa panny Par„kes odnosiła się głównie do losu guwernantek i „dobroczynnego dla nich instytutu, jednego z naj„większych zakładów w całem państwie.

„Dom ten powstał początkowo z niewielkiej wcale „kwoty pieniężnej, jaką w roku 1843 pewna pani „zobowiązała się płacić corocznie. Kapitał ten po„większany przez dobrowolne subskrypcye, wzrósł „przez te lat 18cie do 177,295 funt. szter. (funt „szterling wartość ma 10ciu reńs. m. c.) pomimo „tego, że na wsparcie spracowanych lub chorych „guwernantek, wydano z niego przez przeciąg „tego czasu 14,285 f. szt.“

Podając wam ten wyjątek, nie mam wcale zamiaru zachęcać was, byście i wy na wzór pedantycznych Angielek, zapragnęły mieć swój kodeks, rzeczników i organ swój oddzielny— u nas tego nie potrzeba. — Kobiety-Polki kodeksem jest jej religia, najwymowniejszym zaś rzecznikiem: serce i rozsądek i przez nie położone zasługi w rodzinie, a ztąd i stanowisko w narodzie i społeczeństwie; chcę tylko w wykazie statystycznym tego instytutu przedstawić wam fakt zachęcający i przekonywający, że dziś nie jałmużna rozdawana hojną ręką, która z czasem musi się wyczerpać, dobroczynnością jest prawdziwą, ale większem nierównie i skuteczniejszem dobrodziejstwem jest sił zespolenie, w celu praktycznego urządzania zakładów trwających wiecznie, a nie będących ciężarem publicznym, bo w składzie swym mających swą siłę żywotną.

I. P.

*) List ten pani *War.....* umieścimy w całości później, w stósownem dlań miejscu i czasie.

NOEMI IZRAELITKA,

powieść społeczna,

(Ciąg dalszy).

— Paniczu! panie studencie! wróćno się pan Władyś! jeszcze mam coś pogadać— wołał śmiejąc się serdecznie z chłopca żywości i roztrzepaństwa Beniamin —

— Czegóż chcesz jeszcze stary? odpowiedział niby zniecierpliwiony w sieni Władyś — ocierając z śladu łez mimowolnych jedno jeszcze oko, a drugiem poglądając już dumnie i z zadowolnieniem na ów zaprzęg czekający na niego na drodze, i ciesząc się naprzód w myśli, jak on to jadąc nim przez miasto w Krakowie, będzie mieć minę pańską: konie rosłe i młode w świecących szorach — furman w liberyi szaraczkowej z niebieskim kołnierzem, z takiemiż u rękawów klapami, z herbowemi białemi guzikami, w kapeluszu wysokim z dużą czarną ze srebrnemi sznurkami kokardą — zaś bryczka w owym czasie modna, białym wyplatana korzeniem, na osiach drewnianych, z tyłem tak szerokim, że sześciu takich chłopców jak Władyś pomieściłoby się w nim we dwa rzędy wygodnie, w środku nad stopniami wasąg okrągło wykrojony, zato przód dużo niższy i węższy, na końcu którego przybita bretnalami deska zastępowała kozioł, któren lepiej uwydatniał podwójny żelazny pręt w kształt poręczy dany— siedzenie zaś wysłane sianem i przykryte dywanikiem — tak wyprawiono Władysia do Krakowa i tak dzisiaj powracał.

Tej to bryczki używał także sam stryjaszek do wycieczek w okolicę— gdy zaś jechać miał gdzieś dalej, osobliwie zimą, n. p. do Wieliczki na licytacyą materyałów salinarnych, czego nigdy nie ominął, posiadając ogromne bukowe lasy — do forum tarnowskiego, lub wcale aż do Krosna albo Rymanowa na woły — wtedy na ową bryczkę przykręcano na śrubach stósownej szerokości budę skórzaną, wybitą ze spodu dreliszkiem w szerokie pasy, przypinano fartuch i podróżne torby na te pręty w około kozła zawieszano, do środka zaś oprócz tłomoka i szkatuły dobrze okutej z pieniędzmi szła spora faska bigosu, garnuszek świeżego masła, faseczka bryndzy, butelka ze śmietanką,

maszynka na kawę na spirytusie gotowaną, bo samowary i herbata nie były u nas jeszcze tak jak dziś upowszechnione — wreszcie i puzderko z gdańską wódką — a chociaż przepalał ją na alembiku w sali na kominku stary kucharz łysy, lub braciszek od Reformatów z Wieliczki albo z Zakluczyna, niemniej przeto śmiele *gdańską* się nazywała — z tej przyczyny, że była i okrągłym anyżem zaprawiona, i puzderko, a i białe płazkie w niem flaszki także przed laty z Gdańska pochodziły. —

Gdy więc Władyś z junacką postawą i podpartym bokiem stojąc przed progiem domku, zważał okazałość swego sprzężaju, stary Beniamin bojąc się aby zuchwały panicz nie odjechał, raz go jeszcze nie pożegnawszy, zesunął się powoli z ławy i przyplózł na próg domu, prosząc Władysia, żeby się chwilkę jeszcze zatrzymał.—

Muszę się spieszyć — odrzekł tenże z miną poważną, bo jeszcze dobry kawał drogi do Gdowa, gdzie mam popasać, a głodnym djabelnie.

— Jeżeliby paniczek nie pogardził naszem jadłem, to mogą być jaja na twardo i kartofle pieczone —

— A konie jest gdzie postawić i dać im siana i napoić?

— No— stajni wprawdzie u nas niema, bo to nie gospoda, tylko ja tak sobie biedny muzykant najmuję ten domek, bo cóż mam robić? na starość zwłaszcza w lecie, jak nie ma balów, wesel, to nie ma zarobku—ale można tu zjechać na bok z drogi, koniom siana dać u bryczki, zaś tam niżej pod skałą jest źródełko, naczynie się znajdzie, w którem można przynieść wody, a wreszcie do rzeki niedaleko.

Władyś poszedł zadysponować Błażejowi względem popasu i powróciwszy za chwilkę do Beniamina, zastał go już wynoszącego z komory kilka jajek na cynowym talerzu i kilkanaście wybornych kartofli, podłużnych czerwonych, zwanych w tamtych stronach *grabami*, z których niejeden ważył i funt wiedeński, a wszystkie były zdrowe, gładkie i jędrne aż miło — ani przeczuwały nieszczęsnej zarazy, która spaść na nie miała za lat kilkanaście.

No, rób żwawo ogień Beniamine! żebyś się popisał z twoimi specyałami zawołał Władyś i westchnął z cicha mimowoli, przypomniawszy sobie chleb świeży, wiejskie masełko, doskonałą pieczeń i przednie placki ze śliwkami przyrządzone dla niego na drogę przez poczciwą stryjenkę; lecz niedaleko ujechawszy od Miodowej, zaraz w trzeciej wiosce, spotkał on rodzinę ubogich Czechów, wędrującą zaludniać Bukowinę,—strasznie nędzną i wrzeszczącą;—wtedy tak żywo przedstawiły mu się w pamięci ustępy z życia św. Patrona akademii krakowskiej (Jana z Kent), gdy ten raz z jedną tylko połą od płaszcza, a drugi z całkiem bosemi nogami w mróz trzaskący powrócił do plebanii, bo odzienie i obuwie oddał napotkanym w śniegu nędzarzom—że Władyś uniesion podobnież litośnym zapałem, porwał czemprędzej owe specyały leżące przy jego nogach w koszyku podróżnym i rzucił je bez namysłu z całą kobiałką głodnej i snującej się koło bryczki rodzinie żebraków. Miał on wprawdzie inny jeszcze zapas prowiantów dla matki jego ofiarowany przez stryjostwo — lecz ten chciał jej zawieźć i oddać nienaruszony. —

— Och! kiedy niema w domu patyków mruczał pod nosem zakłopotany i szczerze zmartwiony Beniamin, a ja niepodołam z moją nogą — gdyby to Noemi moja tu była! ale nie ma nawet komu jej zawołać. —

— A dalekoż ta twoja Noemi? zapytał Władyś nieukontentowany, że długo czekać będzie musiał na posilenie, lub może wyrzec go się wcale?

— Ot tam z owcami na pastwisku w krzakach na górze po nad wąwozem, zkąd paniczyk teraz przyjechał właśnie— —odrzekł starzec wskazując ręką w stronę po za domem.—

— Czekaj! już ja ją znajdę i przywołam rzekł Władyś i pobiegł żwawo ścieżką w górę po nad wąwóz, gdzie już z daleka ujrzał przed sobą na szczycie pagórka, porośniętego krzakami, czarny płatek zoranej roli i pośrodku stojącą dziką jabłoń, już z liścia ogołoconą i szarą; gdzieniegdzie tylko u wierzchu konarów trzymał się listek pojedyńczy tu i owdzie obracany od wiatru, to na tę, to na ową stronę, i pod błękitem nieba drgający do słońca, raz purpurową, to pomarańczową barwą, jakby grające kolorami rozliczne szkiełka zawieszonego wśród olbrzymiej nawy kościoła, oświetlonego żyrandola; pomiędzy owemi samotnemi listkami, czerwieniły się dobitniej i znaczniej dwie zapomniane na jabłoni płonki czyli dzikie czerwone jabłuszka, cel zabiegów, rzucanych licznych patyków i kamieni, przez otaczających drzewo pastuszków. — Jabłuszka jak wisiały tak wisiały sobie spokojnie na drzewie, jakby się naśmiewały z próżnych dziatek pokuszeń, które za każdym doznanym zawodem, z okrzykiem niecierpliwości lub śmiechu, niezrażone nim bynajmniej, nowy, coraz silniejszy szturm przypuszczały—gdy tymczasem kozy ich i owce nie zważając na te dziecinne krzyki, do których już przywykły były oddawna, ogryzały smaczno i spokojnie resztki owarzonych gałązek głogu, leszczyny i innych pręci na pół suchych.—

Władyś biegł niepostrzeżony i oburzony, pewny będąc, że te dzieci wiejskie biją się pomiędzy sobą—już w krzyku ich rozróżniając głosy słabszych

i pokrzywdzonych. Na tę myśl samą słuszność i prawość odezwała się w jego poczciwem sercu, wrząc od gniewu popędził na wzgórze, bronić uciśnionych, karać ciemiężców, lub zawstydzić zwyciężonych wspaniale, jeżeli się bardzo prosić będą, darowaniem kary— gdy za zbliżeniem się poznawszy o co rzecz idzie, zatrzymał się o kilka kroków, i szczerą powziął ochotę: przyłączyć się jako dowódzca do szturmującej bandy małych jabłczanych opryszków i sprawić im niespodzianą radość ułatwieniem tak ważnego dla nich zdobycia. Lecz głód dojmujący przypomniał mu, że nie ma czasu się bawić— a więc pozostawszy w miejscu wołał tylko głośno: Noemi! Noemi!.. pewny będąc, że i ona niewątpliwie być musi w gronie zaciekłych zdobywców. — Ze sześć razy z całego gardła powtórzyć musiał imie małej Izraelitki, zanim hałasująca drużyna usłyszała go i postrzegła— a wtedy, zamiast odpowiedzi, rozpierzchli się w tę i ową stronę, chowając się dziko po za krzaki.

Noemi! chodźno tu! nie przestawał powtarzać i zachęcać Władyś — kto zawoła Noemi, dostanie grajcar na kukiołkę!

Na to zachęcające kilkakrotne wezwanie wysunął się jeden chłopak nieśmiało z po za krzaka, odziany zgrzebnym próżnym workiem, i wskazawszy palcem w górę na lewo, krzyknął: „Tam siedzi Niema!“ i znowu schował się zawstydzony w krzaki na nowo.

Macie na jabłka! a podzielić się wszyscy sprawiedliwie!— rzekł Władyś, rzucając na ziemię przed krzakiem w którym siedział ukryty chłopak kilkanaście grajcarów miedzianej waluty, wyzbywając się jej resztek z ochotą. Bo jako Krakowiak nie cierpiał jej szczerze, raz, że mu kieszenie obrywała, a powtóre, że w Krakowie obok kursowych polskich tylko groszy, trojaków i złotówek, nie miała najmniejszej, wartości a zatem i sympatyi: Gdy chłopak okopcony z kijem w ręku i swojem dziwacznem odzieniu, więcej podobny do wybierającego się gdzieś na jabłoń *Joka* niż do człowieka, gramolił się z swego ukrycia, dla zebrania po ziemi pieniędzy Władyś pobiegł w górę na wskazane miejsce, gdzie pomiędzy krzewiną wznosiła się kolosalna kępa kamieni, wzrastająca z każdą wiosną przez zbierane przed siewem coraz nowe i nie wiedzieć zkąd wyrastające na roli kamienie i tu zwożone przez rolników od lat wielu, dziś porosła już miejscami trawą, zielem i chwastami. Było to ulubione miejsce samotnych, i cichych dumań małej Noemi, uciekającej tam zwykle od zgrai wesołych i wrzaskliwych pastuszków, którzy widząc ją ciągle dumającą i mało kiedy odpowiadającą na ich figle i wyzywające psoty, mimo to że ją kochali szczerze, bo im nigdy nic nie wyrządziła złego a wszystkiem dzieliła się co miała, nie pojmując jednak jej milczenia i cichości, zamiast Noemi, przezwali ją *Niemą*, i pod tą nazwą na zawsze już pozostała w ich pamięci.

Noemi siedziała właśnie na skalistym kopcu, głaszcząc drobniuchnemi rączętami cisnące się do niej owieczki i rozmawiając z niemi pieszczotliwie językiem im samém tylko właściwym i zrozumiałym, a tęskne spojrzenia wysełając od czasu do czasu daleko przed siebie, gdzieś w cudze nieznane jej strony. Całe jej ubranie składało się z białej lnianej koszulki i błękitnej spodniczki— włosy gęste, miękkie, ciemnoorzechowe, obcięte równo, do pół szyi spadające, nie zakrywały całkiem białości i wdzięcznego jej toku— mała ponsowa chusteczka lekko na ramiona zarzucona jeszcze wydatniejszem czyniła jej dziecinne blade oblicze i otwarte melancholijne szafirowe, oko, bez tej szklanej wypukłości, co zwykła i najpiękniejsze nawet Izraelitki od innych ras odznaczać nieprzyjemnie, kryjące się raczej skromnie pod długą i spuszczoną ciemną rzęsą, z owym dziwnie spokojnym i łagodnym źrenic odblaskiem. Zielony koc węgierski rzucony w około niej na ziemi niedbale, dany jej zapewne przez troskliwego dziadka w miejscu odzienia, a teraz opadły z jej ramion i służący raczej za murawę, drapował poetycznie jej ulotną postać.

Władyś w obawie, ażeby nagłe ukazanie się, lub głos jego nie spłoszył półdzikiej zapewne w przekonaniu jego dziewczynki, jak przed chwilą chłopaków, szedł powoli, a nawet stanął w miejscu zdumiony i zajęty badaniem szczególnego uroku rozlanego na niewinnej twarzyczce, i całem dziwnie pociągającem jestestwie ośmioletniego dziewczątka, jakby zasłona z białej krepy lub przejrzystszej jeszcze od niej srężogi jesiennej.—

Władyś uczęszczał od roku na wydział prywatny malarstwa w dnie rekreacyjne, wolne od klas, i namiętnie tym przedmiotem był zajęty; każdy listek kształtniejszy, ziółko, robaczek, żabka nawet zielona, wydawały mu się przedmiotem godnym jego pęzla i pełno też podobnych szkiców rysowanych i illuminowanych, wiózł z sobą z wakacyj jako owoc studiów z natury. Pomiędzy innemi był tam i indyk rozzłoszczony z czerwonemi u szyi koralami— i pyszny paw stryjenki z tęczowym, dumnie rozłożonym wachlarzem, najdoskonalej trafiony, i najpiękniejsze w całej oborze szwajcarskie cielę pasące się na dziedzińcu pod lipami, i dwór— i partye ogrodu z kwiatami i brzęczącemi po nich nocami chrząszczami i świecącemi muszkami, najpyszniej według jego przekonania odkopiowane— najśmielsze zaś wykonanie, portret ulubionej kuzynki Emmy, spoczywał w jego tece. Ten więc uosobiony obraz niewinności po-

śród owieczek, jako jej godła, jakby unoszącej się nad nim w górze, musiał obudzić na nowo poetyczny zapał w młodzieńczem umyśle i podać mu myśl nową, jaką według jego przekonania nie odznaczył się dotąd żaden z ojczystych artystów, myśl odmalowania Noemi jako aniołka pastuszków unoszącego się na obłoku, i szkicę tę wypracowaną później w domu według szczegółów zachowanych w pamięci i wyobraźni, przedsięwziął złożyć na półrocznym popisie rysunków. Wydarłszy zatem jak najostrożniej białą kartkę z swego pugilaresu, przykląkł w zachwyceniu z ołówkiem w ręku na jednem kolanie, na drugiem układając do rysunku biały papier, oczami studiował postać Noemi, myślą cieszył się już naprzód z podziwu nauczycieli i zawiści współuczniów, obudzonej jego jenialnością i sławą, o której z większą pewnością zaiste przekonany był w tej chwili, niż Apelles tworząc swą draperyę do zakładu z Eudesem — gdy pasące się obok jagnię, spłoszone jego szybkiem poruszeniem — skoczywszy w bok, poczęło uciekać na dół — za niem poszły oczywiście i drugie owce, a za temi pobiegła jeszcze i sarneczka Noemi zbudzona nagle z swej zadumy, ażeby je nawrócić — a tak przyszła wielkość, sława i rachuby młodego mniemanego jeniusza, jak piana o morską skałę, rozbiły się o polną kępę kamieni, na której klęczał w tej chwili, jak na unoszonej falami desce rozbitego statku! Lecz próżne jego utrapienie i żal za utraconym ideałem — jeżeli bowiem nie urojonym lecz urodzonym jest artystą, natchnienie zaczerpnięte w wydarzonej choć tak krótkiej chwili, pozostanie w jego duszy, choćby tam gdzieś w głębi na dnie, niby zapomniane, ażeby w stósownej znów porze ukazać się niewołane przed jej oczyma, niby objawienie.

Władyś klnąc płochość niegodziwą prozaicznego jagnięcia, nie będącego w stanie pojąć czem jest dla artysty uroczysta chwila natchnienia, choć w sielankach tak romantyczną odgrywa rolę, powstał spiesznie i zwróciwszy się w stronę gdzie zbiegła dziewczynka, żwawo popędził za nią — gdyż po minionem natchnieniu, głód znowu nielitościwie mu się przypomniał.

W tym szybkim jednakże pochodzie swoim rzuciwszy okiem po za siebie musiał znów zatrzymać się mimowoli, bo w panoramie ciągnącej się paremilowym przesmykiem pomiędzy urozmaicone z obu stron lasami góry, ukazała mu się ta cała dzika dolina, z tą kamienistą drogą i kilkakroć przerzynającą ją wężykowatą rzeczyną, co tylko przebytą, aż do pól Miodowej — jej białego tylko dworu nie mógł ujrzeć, gdyż na prawo góra pionowo w kształcie kopca wystająca po przed inne zasłaniała go niestety! nagradzając mu jednakże tę swą niedyskrytność cudną gęstwiną drzew liściastych, jakiemi pokrytą była bez przerwy od stóp do głowy — jakby każdy ich rodzaj umyślnie był sadzony w poprzek góry pasami, coraz to odmiennej barwy; w całości przedstawiały tęczową: żółtych, orzechowych, zielonych i błękitnawo czerwonych cieniów mozaikę. Artysta nasz stanął na nowo zachwycony, zapomniawszy o prozaicznym głodzie i naliczywszy dziewięć naraz barw na owej czarującej górze, osądził je znów najgodniejszym przedmiotem swego penzla.

Któryś z pierwszych malarzy Francyi zyskał przyznanie sobie przez akademią wieńca i imie nieśmiertelne, za jenialne odkopiowanie masy drzew z podobną grą kolorów i cieniów — pomyślał znowu Władyś — czemuż i ja nie mógłbym zań pozyskać pochwały chociaż na półrocznym popisie? I już miał się zabierać do kopiowania cudnego obrazu — gdy wpatrując się weń spostrzegł znów z boku na tle jego przez wierzchołki odwiecznych i niepoliczonych sosien na górze pokrytej szaremi bo z liścia obnażonemi już sadami, ruiny Wieruszyckiego zamku, o których z dawnych czasów wieść krążyła w tamtych stronach, iż kryją w sobie skarb ogromny i inne ciekawe a straszne tajemnice. — Począł więc rozważać, czy nie lepiej byłoby według znanych mu już dobrze zasad poezyi ułożyć balladę ojczystą na wzór Bürgerowskich i nią dobijać się palmy na półrocznym popisie? gdy nieco dalej przedstawił mu się jeszcze we mgle oddalenia stary Kmitów zamek a z nim przypomniały się czasy Zygmuntów, Boratyńskich z całą trajedyą Barbary, w której niedawno na przedstawieniu amatorskiem z akademików miał i on udział i to z niemałem powodzeniem, że roztrzepany chłopiec w tem przekonaniu, iż stoi na scenie przed pełną uniesień nad grą jego krakowską publiką, w roli rozkochanego Augusta, począł deklamować najpiękniejsze jéj ustępy i w zapale przechodząc się niby po scenie, posunął się nie wiedząc o tem ze środka na sam brzeg skalnej kępy, której boki pokrywały miejscami ciernie — miejscami zaś prostopadłe ścieszki przez kozy dla ich tylko stópki wydeptane. Kamień na którym stanął przechylił się nagle i zesunął na dół — a za nim i nasz bohater raptownie, nim mógł się tego spodziewać, stoczył się koziołkując po kamiennej ścianie — dosyć jednak szczęśliwie, bo bez szwanku prócz tylko z jednej strony lekko podrapanego profilu — i naraz ni ztąd ni z owąd ujrzał się rozkrzyżowany na wznak jak długi, na nizinie, podziwiając oko w oko wiszący nad nim w górze obszar spokojnego nieba.

Ochłonąwszy z przelęknienia, zamiast zerwać się czem prędzej na nogi — siłą wrodzonej ludziom dziwnej skłonności, począł leżąc na ziemi śmiać się na całe gardło z swego wypadku — później

zaś mocą wrodzonej im znów próżności — podniósł najprzód ostrożnie głowę, patrząc trwożliwie do koła, czy zaś Noemi, albo ktokolwiek przechodzący nie był świadkiem niewidomym tej jego śmiesznej katastrofy; lecz gdy nie ujrzał nikogo, a głosik dziecinny Noemi zwołującej na dole w wąwozie swe owieczki, upewnił go że już była daleko, powstał żwawo z ziemi i otrzepawszy starannie z swej odzieży widome ślady owej podróży bez celu i chęci, pobiegł w stronę zkąd głos *baź! baź!* leciał, wołając: Noemi! Noemi! powracaj spiesznie do chaty, bo dziadek czeka cię niecierpliwie.

Wołanie jego nie przeraziło wcale, tak jak się obawiał, małej czarodziejki; owce tylko i kozy trwożliwe rozpierzchnęły się na chwilkę— Noemi zaś przywykła od kolebki do częstego widoku obcych ludzi w domu dziadka, nauczona jego przykładem, żeby ich się nie lękać, od nich nie stronić, nic wreszcie złego nie przeczuwając z ich strony w niewinnej prostocie dziecięcego serca, za powtórnem wezwaniem młodego przybysza zbliżyła się uprzejmie i pocałowała go w rękę. On zaś pomieszany trochę tą niespodzianką, sam nie wiedział czy podać jej ma czy odjąć swą rękę— bo wyraz tego miłego oblicza, gdzie obok niewinności baranka, łączyła się dziwna nad wiek jej godność i rzewność razem, nieznane dotąd zrobiła na nim wrażenie.

Władyś więc szedł w milczeniu przez chwilę obok Noemi, która drobnemi nóżętami stąpając lekko z kamyka na kamyk spędzała ku domowi swą trzódkę spoglądając niekiedy z zachwyceniem na roztoczone w dali przed niemi doliny, gdzie z po za olszowych gajów wyglądał kościół z białą wieżą i złoconym krzyżem — a jeszcze dalej o mil kilka przez pagórki i wąwozy, otwarte równie nadwiślańskie żółciły się tu i owdzie ściernią, zieleniły świeżą oziminą, lub czerniły co tylko pooranemi skibami. On zaś dumał sobie idąc w milczeniu i rzucając na nią z boku ciekawem i pałającem okiem zachwyconego młodzieńca, a za każdem takiem spojrzeniem przychodziły mu na myśl: to fiołek, to niezapominajka, to stokrótka lub lilijka biała. Po długiej chwili milczenia Władysław już poważniejszy i jakiś sposępniały zapytał wreszcie: O czemże ty rozmyślasz tak cicho luba dziewczynko, i czemu spoglądasz tak często tam na doliny?

Noemi zapłoniła się i spuściła w dół oczy, nie dawszy odpowiedzi — a na powtórzone i natarczywsze zapytanie Władysia, wskazała tylko w milczeniu i nieśmiało na bielejący w dali kościół.

— Ten kościół tam na dole tak cię zajmuje?— odrzekł zdziwiony Władysław, a byłażeś ty w nim kiedy?

— Byłam już dwa razy . . . . odpowiedziała zmięszana dziewczynka — ale nie trzeba mówić o tem dziadkowi, bo on gniewałby się na mnie.

— I cóżeś tam widziała, jak ci się podobało?

— Ach, tam tak miło, tak pięknie jak wniebie!

Tu stanęli przed progiem domku, gdzie dziadek oczekiwał ich niecierpliwie, i w kilku słowach rozkazał jej co ma robić. Owieczki weszły same do przyrządzonej dla nich w sieni przegrody, Noemi znikła, lecz za chwilę powróciła znowu, z pękiem zmrożonych i suchych jak pieprz badylów ziemniaczanych — składając je w izdebce przy kominku, gdzie Beniamin przygotował już wiązankę patyków — niemogąc jednakże dostać wprost z ziemi do ogniska, wskoczyła zręcznie na stojącą obok ławkę, odgrzebała patykiem ukryte w popiele zarzewie, położyła nań garść badylów, a na tę kupkę suchych gałązek— podmuchała i w okamgnieniu buchnął płomień jasny. Beniamin stojący obok z miareczką wybranych kartofli, przyglądał się z wyrazem radości zręcznemu krzątaniu się małej wnuczki, która ani wiek ani siły mając po temu, żeby cośkolwiek zrobić z łatwością i dokładnie, nagradzać umiała ów niedobór przemysłem i przytomnością, a raczej sprytnością lata jej przechodzącą. Władyś siedząc za stolikiem z głową opartą na ręce, patrzał się na nią z podziwieniem i rodzajem litości — na te drobne jej rączęta i całą dziecięcą jeszcze postać, która już tak pracować i trudzić się musi, jakby dorosłe stworzenie, dlatego że jest córką ubogich ludzi, gdy dzieci bogatych, w tych latach strzegą jeszcze niańki i bony, bawią je, karmią i czuwają nad niemi. Noemi tymczasem oddana cała swemu zatrudnieniu, włożyła w zarzący popiół ziemniaki — przystawiła do ognia garnuszek z jajami wodą zimną zalanemi, i wziąwszy dzbanuszek, pobiegła do źródła po świeżą wodę. Wtedy to Beniamin korzystając z jej nieobecności, począł opowiadać Władysiowi i z całym zapałem rozwodzić się nad przymiotami jej serca, nad jej niesłychanym rozumem. — To chyba tylko w księgach Salomona lub Mojżesza, mówił ze łzami w oczach starzec, znaleśćby można odpowiedź na te pytania, jakie to dziewczę często mi zadaje, gdy jest sam na sam ze mną — o panu Bogu, to o ludziach, i o wszystkiem co ją otacza — prawdziwie że mnie siwego starca zawstydzi niekiedy swą mądrością, bo niewiem co jej na to odpowiedzieć. — Władysław słuchając go z zajęciem, w duszy rozmyślał sobie: cóż to za przysługa byłaby pozyskać taką duszę dla naszej wiary, — jakże i ona z swem usposobieniem byłaby dopiero szczęśliwą żyjąc w tej wierze, i według znanych jej już dokładnie tejże zasad! Myśl

ta tak owładnęła ognisty i do uniesiesień skłonny umysł młodzieńca, że w rozmowie dalszej wydał się z niej mimowoli przed starym Beniaminem, i po odpowiedzi tegóż poznał zaraz krok swój niepolityczny, jak i to, że miałby do czynienia z twardym w tej mierze przeciwnikiem; bo Beniamin choć ani z przyrodzonego usposobienia, ani z zasad swoich nie należał do fanatyków swego wyznania, nienawidzących chrześcian bezwarunkowo, owszem żyjąc z nich, był im przychylny a nawet i wdzięczny, nie był wcale oszustem, a nawet przyznawano mu powszechnie rzadką jak na żyda sumienność i prawość — ale całą swą duszą, prostym umysłem i poezyą swego muzykalnego zmysłu, wiernym był i przywiązanym do wiary swych ojców, lubił rozpamiętywać chlubną i smętną razem ich przeszłość, i stale oczekiwał i wyglądał przyszłości obiecanej — i te to uczucia i myśli starał się wpajać i zaszczepiać w swą ukochaną Noemi, przy każdej z nią rozmowie, z każdym podanym jej kąskiem chleba.

W czasie tej pogadanki, i skromny posiłek, i sól w jasełku biała, i świeża źródlana woda ukazała się na stole—że zaś głód i wiek młodociany najlepszymi podobnoś są kuchmistrzami, Władysław ciesząc się jednym i drugim, w całem słowa znaczeniu, zawijał aż miło te patryarchalne specyały.—Beniamin dowiedział się jeszcze od niego że w miesiącu lutym ma być zabawa z tańcami w Miodowej— a nawet kulig może, na imieniny stryjenki Konstancyi;—że Władyś przyjedzie także choćby się piechotą miał przekraść przez komorę, w razie gdyby nie otrzymał szkolnego pozwolenia.. Wreszcie nakarmiony, zasilony na prędce, uporawszy się z Beniaminem, który w żaden sposób zapłaty przyjąć niechciał, pożegnawszy oboje serdecznie, z miłem wrażeniem wskoczył żwawo na bryczkę, to na przód to w tył się taczającą, bo i gniadosze opasione, napojone także, furkały zuch wale i stać nie chciały.

Przebywszy wbród rzekę Rabę, i dostawszy się na gościniec gdowski, wkrótce ujrzał się pod wsią Prokocimem, gdzie była komora rządowa, i on jako Krakowiak będący w Galicyi za paszportem, musiał go wizować na komorze—kazawszy zatem stanąć, ubrał się na prędce w nowy mundur, poprawił czuprynę i z miną nie gorszą w jego przekonaniu, od pułkownika przynajmniej milicyi krakowskiej, poszedł przedstawić się na komorze — a za chwilę z podpisanym paszportem wjeżdżał już do ulubionego Krakowa.

(Ciąg dalszy nastąpi).

W imionniku synów Tomasza Zana.

Dla synów ojca Tomasza Zana
Nie trzeba innej w życie przestrogi,
Niech tylko codzień, wieczór czy z rana,
Rozpamiętują ojcowskie drogi,
A krzepiąc ducha wielkim przykładem,
Niech postępują ojcowskim śladem.

I niechaj strzegą świętej puścizny
Co nie im tylko z rodzica spływa —
Co spływa wszystkim synom ojczyzny,
W sercu narodu co wiecznie żywa, —
A będą zacni, przed Bogiem czyści,
Na ziemi jaśni i promieniści.

Takiemi bądźcie! Lecz wiedzcie o tem,
Że droga którą iść wam należy,
Droga to zlana i krwią i potem,
Raniącym cierniem co krok się jeży,—
I trzeba, by w niej dotrwała noga,
Miłości ludzkiej i łaski Boga.

Miłością miłość tylko się płaci,
A więc kochajcie, sercem nieskąpi,
A gdy zyskacie miłość współbraci,
To za miłością i łaska zstąpi,
I z jej promiennym wieńcem na czele,
Ciernistą drogą pójdziecie śmiele.

A jeśli kiedy wśród walk i burzy
Serce wam zadrży, ból usta zatnie,
Niech za talizman wtedy wam służy
Błogosławieństwo to moje bratnie.
To czasem krzepi,— doznacie sami;
Teraz żegnajcie, i — Pan Bóg z wami!—

Kraków 6 sierpnia 1858 r.

G. C.

BLAGIER I KOMEDYANTKA.

Z pogadanki o wychowaniu,

przez

Paulinę z L. Wilkońską.

Tak zwana *blaga (blague)* jest jednym z odcieni kłamstwa: zastępuje zwykle brak nauki i świadomości rzeczy. Podlegają jej osoby, pragnące popisywać się *z wiedzą wszystkiego* — i *na pamięć, na chybi-trafi*, zręczną na pozór gadaniną i wygłaszaną stanowczo, zniewolą potulnych do milczenia a otumanią prostaczków. Poznać się wszelako nietrudno, gdy ktoś gada o tem, czego nie umie, nie zna, o czem zaledwo posły-

szał — a jest-to zawsze zuchwałem *zarozumialstwem* i lekceważeniem rozumu drugich. Popisywanie się dzieci z umiejętnościami pochwyconemi zlekka tylko i powierzchownie, — do czego ich rodzice zachęcają przez próżność, a obcy przez względną pobłażliwość, — pierwszą do *blagowania* dają im podstawę, podnietę i zachętę.

Blagery gadają i decydują o każdym utworze literackim, nie czytawszy go wcale; rozprawiają, pochwytanemi frazesami, o muzycznych i malarskich utworach, bez znawstwa; prawią o przeróżnych naukach i wiadomościach, i schodzą nawet aż do prywatnych stosunków, bo *wszystko* lepiej chcą wiedzieć.

Blaga wszelako szkodliwą jest tylko dla samegoż *blagera*, bo go częstokroć *kompromituje*.

Młodzieniec jeden, w dość licznem zebraniu, stanął przed pięknym obrazem i począł rozprawiać: że to jest ta a ta szkoła — pędzel tego a tego mistrza — i t. d. i t. d. Zebrani słuchali w milczeniu, a *znawca-blager* coraz śmielej *blazgonił*. Aż wreszcie wysunął się pan jakiś skromnego wejrzenia, i z uśmiechem chłodnej ironij zbił od razu wszelkie dowodzenia i całe znawstwo młodzika: obraz należał do wcale przeciwnej szkoły, i w niczem nie miał podobieństwa do pędzla wymienionego malarza. Młodzik poczerwieniał, jąkać się począł, i o mało że — jak to mowią — nie spalił się ze wstydu.

Pocóż więc narażać się *z dobrej woli* na zawstydzenie? Pocóż *kłamaną wiedzę* swoję budować na *mniemanem nieuctwie* drugich? Wszędzie to rozumni znajdą się ludzie i łatwo się poznają, gdy ktoś *na pamięć* gada, choćby frazesami pochwytanemi z pięknie napisanej recenzyi.

Należy się wszelako dodać, że nieporównanie więcej jest *blagerów* jak *blagerek*.

Udawanie *czegoś*, tajemniczość *jakaś*, otóż ku czemu skłania się niekiedy dorastająca dziewczynka: zaczyna udawać czułość, litość, uniesienie, mizdrzy się z przesadzoną skromnością i t.p. by współczucie i pochwały pozyskać; zaś ta *jakaś* tajemniczość, niby jej interesu ma dodać: to wie *coś*, to o *czemeś* posłyszała, to jej *coś* powierzono — wreszcie list *jakiś* odebrała. Są to *manewra*, których się głównie w obec rodzeństwa, przyjaciołek i służby dopuszcza. Ten *fałsz* należy się od razu wytępić rozsądnem, do rozumu i serca trafiającem przedstawieniem: o ile takie udawanie jest nagannem, ubliżającem charakterowi, a wreszcie i śmiesznem. Przez zaniedbanie, zbyteczną pobłażliwość lub lekceważenie, udawania podobne wyrodzą się później w *komedyanctwo*, a to jest zakałą przewielką, i klęską dla rodziny i osób interesowanych.

Komedyantka ze sercem jest śmieszną i ckliwą. Komedyantka bez serca — co zdarza się najczęściej — niebezpieczną bo szkodliwą. — Kobieta z sercem nie może długo komedyi odgrywać, bo gdy w niej ozwie się uczucie, to i zaraz z *roli* swojej wypada.

Komedyantka nie zna prawdy — nigdy prawdą nie żyje — a zadaje kłam nawet i stworzeniu swojemu: wyzuwa się z wszelkich niewieścich przymiotów, danych jej na podstawie prawdy, serca, woli serdecznej i dobrej wiary — bo sama kłamiąc, wiary nie pokłada w nikim i podejrzewa wszystko. Ludzi wszelako temi darami Bożemi za pomocą *komedyanctwa* — i złudzić niekiedy potrafi. Oblicza wszystko: każda czynność, ruch, słowo, spojrzenie, ubiór — wszystko jest wyrachowanem.

Komedyantka kłamie każdą cnotę, każde uczucie: łzę i uśmiech, smutek i wesele. *Egzaltuje się na zimno*. Goni za mianem wzorowej żony, pieści męża, wpaja w niego słodkie przekonanie, że on jest panem domu...... a wodzi go za nos; chce okazać się matką najtkliwszą, najtroskliwszą, trzyma dzieci swoje w objęciu, całuje, klęka, rozczula się, a zaniedbuje wszystkiego, co właśnie ich przyszłą stanowi dolę.

Komedyantka ma na celu tylko *ja* swoje: wyświeca je wszędzie, podnosi — a usiłuje wszędzie i zawsze drugich poniżyć, potępić, stawiając siebie na *piedestale*. — Gienialną jest w przebiegłości i w wykrętach: *w wywijaniu kominków*, jak mawiali starzy.

Komedyantki są o wiele niebezpieczniejsze od komedyantów. Komedyant jest więcej *efekciarzem*, to jest: usiłuje wywołać wrażenie, interes szczególny dla osoby swojej, dać mniemanie, że jest niepospolitym człowiekiem, znakomitością i t. p. — Komedyantka zaś staje się przewrotną i podstępną. Zechowaj Boże każdego od niej! — A dzięki Bogu, że ich nie jest wiele.

W końcu powiedzmy jeszcze, że na komedyanctwie z czasem poznają się ludzie — i że łatwiej błąd każdy przebaczą, aniżeli kłamaną cnotę.

ZABOBON

Obrazek osnuty na tle powieści ludowej.

Wśród gór karpackich, nieopodal od szczytów niebotycznych Tatrów, piękna i rozkoszna rozściela się dolina, *Krzywką* zwana. Mały, skromny przerzyna ją strumyk, i szemrząc przemyka się szybko po kamienistem łożysku, dążąc do Dunajca, a wzdłuż brzegów jego rozpościerają się chatki i ogrody biednych tej okolicy mieszkańców, pospolicie góralami zwanych. Wśród włości skromny wznosi się kościołek drewniany, osłoniony lipami,

a obok niego dostatniejsze nieco od innych chatek włościańskich mieszkanie plebana. W jednym tej doliny jarze pod lasem, odosobniona od innych, nędzniejsza, na pół zawalona stoi chałupka, o malutkiem okienku. Do niedawna mieszkała w niej w podeszłym już wieku niewiasta, w całej wsi kochana i szanowana, chociaż prawie o żebranym chlebie żyła. Nie chodziła ona za jałmużną, ale wszystkie wieśniaczki ją znały, i każda chętnie przynosiła jej to zboża trochę, to kilka groszy, bo ona znała się na ziołach, zbierała je po górach, leczyła chorych, nie jednej matce umierające już prawie przywróciła dziecię, a nietylko ludzie ale i krówki doznawały dobroczynnej jej opieki — z innych włości spieszono nie raz po ratunek i poradę do starej Katarzyny. W jednym wreszcie roku, ona sama mocno podupadłszy na zdrowiu, już nie mogła oddalać się z swej chatki, a całą jej pociechą i pomocą był poczciwy jej syn, żwawy i dziarski parobczak, którego cała wieś *Jaśkiem z pod gaja* nazywała. Był on zaiste dobrym, szczerze przywiązanym do swej matki synem, wszyscy budowali się z jego zabiegliwości dla matki, staruszka ze łzami w oczach, serdecznie go błogosławiła, za te troskliwe około niej usługi; gdy umarła, na jej pogrzeb cała gromada się zeszła, a gdy ks. pleban w czułej przemowie nad jej grobem zwrócił się do Jaśka, wskazując go innym jako wzór dobrego syna i wszystkich oczy łzami zwilżone zwróciły się ku niemu — czuł on się wtenczas dziwnie pocieszonym a oraz i upokorzonym. Rozszlochany upadł po nabożeństwie dobrodziejowi do nóg, dziękując za ostatnią przysługę jego matce wyświadczoną. Podziękował pokornie starszym gromady, ucałował ręce wójta i powrócił spłakany do domu.

W samotnej chatce swej usiadłszy przy okienku dumał długo i wzdychał ciężko. O! bo nietylko śmierć przygniotła duszę jego, inna jeszcze na sercu ciążyła mu dolegliwość. Córka wojta, nadobna i hoża Zosia, tak była dobrą dla jego chorej matki, w ostatnich kilku tygodniach prawie codziennie ją odwiedzała, długie godziny przysiadywała przy jej łożu, pocieszała ją wesołą rozmową, umiejąc czytać na książce, czytała jej co najpiękniejsze modlitwy, śpiewała jej nabożne pieśni, a gdy obie nieraz serdecznie się rozpłakały, stara Katarzyna uścisnąwszy jej główkę zgrzybiałemi dłońmi, najczulszemi obsypywała ją błogosławieństwy. Jasiek tymczasem zarabiał na matkę i na siebie pomiędzy ludźmi, a serce jego wielką pałało dla Zosi wdzięcznością za tyle dobrego co jego matce świadczyła. Lecz powoli ta wdzięczność zamieniała się w miłość gwałtowną, namiętną tem więcej, że mu się zdawało, iż i Zosia nie jest dlań obojętną. Zosia nie miała już matki. Ojciec zajęty sprawami własnemi i gromady, mało na nią zwracał uwagi. Sama sobie zostawiona, pamiętna zawsze nauk i przestróg swej zmarłej matki, pobożna, skromna, niewinna, tak przykładne prowadziła życie, iż w całej wsi powszechnie była kochana, iż ją matki córkom swym na wzór stawiały. Szukając sposobności czynienia dobrze gdzie mogła, z wielkiem poświęceniem służyła Katarzynie z chrześciańskiej jedynie miłości bliźniego. Ale widząc wdzięczność ku sobie Jaśka, jego pracowitość, trzeźwość, uczciwość i przywiązanie do matki, pokochała go sercem siostry, nie myśląc wcale o tem, iżby kiedy mogła być jego żoną. Ojciec jej najmajętniejszym był gospodarzem we wsi. Niegdyś chodząc do szkół w Węgrzech w Podolińcu u ks. Pijarów *), wykształcił się niepospolicie, a wychowanie jego i sposób zachowania tak był odznaczający, iż go w gromadzie na pół żartem szlachcicem zwano — gdy Jasiek najuboższy parobczak we wsi, mógł sobie tylko powtarzać: wysokie progi na moje nogi.

Po śmierci matki, Zofia nie zajrzała więcej do jego chaty. Długi czas nie widywał ją chyba w kościele. Aż gdy przyszło kosić łąkę u wójta, zawołali go na zarobek. Chętnie tam pośpieszył natychmiast, nie chciał nawet godzić się o zapłatę, wszystko mu było jedno ile tam dostanie nagrody. Już z świtem pracował na wójtowej łące. Słońce wysoko wzniosło się już do góry, już też i skosił znaczną przestrzeń, gdy Zosia stanęła przed nim, przyniosłszy śniadanie. Łzy mu się w oczach skręciły gdy na nią spojrzał, co ona dostrzegłszy, spłoniła się wielce i oczy na dół spuściła. Atoli wnet tak lubo do niego szczebiotać zaczęła, tak mile nań patrzyła, że Jasiek rajskiem jakiemś upojon uczuciem, zawołał chwytając ją za rękę: Ach Zosiu, Zosiu, jakże ja bez ciebie żyć mogę na świecie! Zosia odwróciła się, odbiegła parę kroków, fartuszkiem oczy otarła, potem rzekła: Oj, ojciec nie pozwoliłby nigdy na to! i pobiegła jak sarna spłoszona do domu.

Jasiek zaś tak był szczęśliwy i wesoły przez cały ten dzień, tak szybko i rozkosznie szła mu praca, że przed wieczorem, gdy wójt sam wyszedł na swą łąkę, zawołał zdziwiony: Cóż ty Jaśku za dwóch jak widzę robisz? — Oj panie wójcie! rzekł Jasiek, robiłbym ja za dziesięciu u was aż do śmierci, gdybyście mi dali waszą Zosię za żonę!

Wójt się uśmiechnął, spojrzał na niego ciekawie i rzekł na pół z drwinami: Czemuż nie? kup tylko ten grunt który teraz pustką stoi po Kubie Kru-

*) Szkoła ta do niedawna istniała. Wielu gospodarzy wiejskich w karpackich górach tam dostateczne otrzymali wychowanie. Ztąd nieraz zdarza się poznać tamże prostego wieśniaka, mówiącego nieźle po łacinie i posiadającego inne wiadomości naukowe.

ku, odnów chałupę, przyrządź świetlicę, kup parę koni, a dam ci moją Zośkę i z nią parę krówek, ta i kilkanaście owiec.

Wójt odszedł. Jasiek westchnął głęboko i mruknął sobie pod nosem: Patrzcie, jak zadrwił sobie ze mnie! Przecież wie dobrze, że zaledwo na przyodziewkę zarobić sobie mogę. I ciężki żal go ogarnął.

Od tego czasu znowu kilka upłynęło tygodni— Jasiek tęskno wyczekiwał żniw, i marzył o tem, jak z Zosią na jednym zagonie żąć będzie. Lecz przyszły żniwa. Jaśka jak gdyby nie było we wsi. Ani razu nie zawołano go do wójta. Zebrali wszystko zboże bez niego— i we wsi szemrano już między sobą: Za coś wójt pogniewał się na Jaśka, nie dał mu ani groszyka tych żniw zarobić u siebie. Jasiek głęboko tem dotknięty, widocznie posmutniał, ponury chodził po wsi, do nikogo nie zagadał wesoło. Już przyszło Matki Bożej siewnej (narodzenia), żniwa się pokończyły, posmutniało na polach jak w duszy Jaśka. W dzień ten świąteczny, Jasiek idąc do kościoła jak można najwcześniej, trzymał się blisko drzwi, ciągle wyczekując, aby swą Zosię obaczył. Nareszcie wchodzi i ona. Smutek, rezygnacya widoczna na jej twarzy. Poszła, uklękła między dziewicami. On stał jak wryty, i na chwilę zapomniał, gdzie się znajduje.

Po nabożeństwie wracając samotnie, słyszy za sobą głos znajomy: Cóż ci to Jaśku? tak idziesz jakbyś wieś spalił. Już się też raz trzeba pocieszyć po stracie matki, wola Boska na wszystko! Był to wesoły i dowcipny Michałek, trochę zrozpaczony, że go oddali do wojska, i że go teraz wszyscy urlopnikiem zowią. Śmiał się z dziewcząt, że z żadną się nie ożeni, boby długo musiały czekać na niego, aż wysłuży swe lata —ale widać, że więcej udawał wesołego, jak był nim rzeczywiście, bo wśród zabaw i tańców nieraz westchnął głęboko. Jasiek lubił tego poczciwego parobka. Nieraz razem na zarobek chodzili. Zawiązał więc z nim rozmowę. Widziałem Zośkę wójtową, rzekł do niego, zawszem jej wdzięczny za moję matkę. Dobra to dziewczyna, odrzekł Michałek, szkoda że ją chcą nam zabrać ze wsi. Stara się o nią jakiś sołtysik z pod Sącza. Ojciec jest więcej za tem jak ona. Po świętym Michale ma być wesele. Bogaty i na panicza zakrawa. Chodzi w surducie jak jaki dziedzic.—Jasiek udał że się śmieje, ale był to śmiech spazmatyczny. Ciemno mu się przed oczyma zrobiło. Prędko pożegnał się z Michałkiem, a wróciwszy do swej chatki, padł jak długi na ziemię i na cały głos się rozpłakał.

Ku wieczorowi wziął swą kaletkę z pieniędzmi, bo od czasu jak marzył o tem, aby Zosię poprowadzić do ołtarza, stał się wielce gospodarnym i oszczędnym, i zebrał biedak już trzy aż reńskie. Przeliczył swój skarb, rzucił nim o ziemię, kopnął nogą, znowu podniósł, schował do kieszeni, nałożył swój kapelusik na głowę, i...... pobiegł do gospody.—Dawno już tam nie był, bo nieboszczka matka nie lubiła tego. Dziś jakoś zobojętniał i otrętwiał na wszystko. W gospodzie wesoło, grali, tańczyli. Zosi tam nie było, ale inne dziewczęta szczerze powitały Jaśka, jakby z tamtego świata powracał. Michałek przewodniczył hulance i Jaśka wnet wciągnął do pląsów. Jasiek tego wieczora bawił się rozpasanie. Hojnie płacił skrzypki i basy, napitek kupował znajomym i nieznajomym, tak iż gospodarze mówili do siebie: Co to się dziś temu Jaśkowi stało?

Podochociwszy sobie trochę, wyszedł nareszcie z karczmy na świeże powietrze. Księżyc uroczo przyświecał, a wtem nadszedł właśnie i stanął obok niego jakiś człowiek podróżny, z włosem pojeżonym, rozczochraną z brodą, żółty, nabrzmiały na twarzy, widocznie pijaństwu oddany, na nim stare, pełne dziur i łat surducisko, bosy, z kosturem w ręku, w pierwszej chwili przestraszył Jaśka. Lecz potem przypomniał sobie tenże, że go już widział w gospodzie i wódką nawet częstował. A co wy tu robicie? rzekł do niego. Ot, odpowiedział nieznajomy, bieda ugania mną po świecie, chodzę pomiędzy ludzi, gdzie mię kto czem opatrzy.—

Toście tu źle trafili, mówi Jasiek, bo my tu sami ledwo dychamy, oj i nas bieda gniecie! A to chybaś ty djabłu duszę zapisał, rzekł podróżny, kiedy tak dziś rzucasz pieniędzmi, kiedy u was taka bieda. Jakaś myśl nagła błysła w duszy Jaśka. Rzekł tedy zdziwiony: Albożby mi djabeł dał pieniędzy, jakbym mu duszę zapisał? A jużci, rzekł nieznajomy, spróbuj tylko, idź o północy na rozstajną drogę, wołaj na djabła, obiecaj mu swą duszę, a da ci tyle pieniędzy, ile tylko zechcesz. Ale jakbyś mu kiedy w czem nie dotrzymał słowa, to ci łeb skręci jak wróblowi, i przepadłeś!

Jasiek zadumał się chwilę, i natychmiast powziął zamiar korzystania z tej nauki. Ot, co tam gadacie, chodźcie lepiej napijmy się jeszcze. Weszli obaj, żyd im chętnie dostarczył ulubionego trunku, Jasiek zapłacił co się należało, i niepostrzeżenie prawie wymknął się z gospody. Ale nie poszedł do domu, lecz co prędzej pędził rozmarzony w pola za wieś, na rozstajne drogi szukać djabła i pieniędzy. Noc była chłodna, chmury dość gęste co chwila przyćmiewały światło księżyca, który jakby walcząc z niemi wydobywał się i jaśniał, to znów krył się poza nie. W polu wiatr coraz silniejszy powstawał i szeleścił lasami po górach. Jasiek gnał bez ustanku. Ubiegł może już milę i odetchnął trochę otrzeźwiony na rozstajnej drodze,

pod figurą tamże postawioną. Strach go ogarnął, lecz pomyślał o Zosi i nabrał odwagi. Zaczął więc krzyczeć z całego gardła: Djable, panie djable, wielmożny panie djable! Ale nikt nie przybywał, nikt się nie odzywał, tylko gdzieś tam po górach rozlegały się głosy jego. Ucichł więc i słucha, ale nic nie słyszy, chyba szmer wiatru i szelest drzew, a zresztą cicho i głucho. Tam gdzieś z dala dolatuje go głos koguta, mówi więc do siebie: Już po północy, już późno na djabła, trzeba wracać z niczem do domu.

Spuścił głowę i myśli, którędy tu do jego wsi droga, gdy w tem słyszy zbliżający się ku sobie tentent konia. To djabeł pomyślał sobie i woła na nowo w niebogłosy: djable! panie djable! wielmożny panie djable! Po chwili staje przed nim jeździec na koniu. Choć przyćmione chmurami światło księżyca, daje mu jednak poznać w nim jakiegoś młodego pana z kozią bródką, z strzelbą przewieszoną przez plecy, który surowym zawołał nań głosem: Kto ty jesteś? Czego tu krzyczysz?

Oj jaśnie panie djable! ja tu już długo czekam na ciebie, abyś mi dał pieniędzy, a ja ci dam duszę moję, bo ja się chcę z Zosią wójtowną koniecznie ożenić, odpowiedział Jasiek z wielką pokorą, chwytając djabła za nogę. — Zkąd ty jesteś? zawołał jeździec z przytłumionym śmiechem.— Z Krzywki, jaśnie panie djable, zowią mię Jasiek z pod gaju. Tu opowiadać począł o swej matce, o Zosi, o wójcie i tegoż odpowiedzi. I że teraz cała jego w nim nadzieja.—Dostaniesz durniu pieniądze, rzekł jeździec ponuro, ale pod warunkiem, iż jak będziesz miał syna, mnie go oddasz w pół roku po narodzeniu jego. Przystajesz na to?—Przystaję, odrzekł Jasiek bez wachania.— Pamiętajże, mówi jeździec, bo ja z sobą nie dam żartować! Już ja cię wszędzie znajdę! Dwieście reńskich będziesz miał dosyć na twoje potrzeby. Tu je masz. I wyjął pulares z kieszeni i wyliczył dwieście reńskich w papierach bankowych. Rzucił mu je na ziemię, a sam spiął ostrogą konia i w dalszą udał się drogę.

Jasiek w tej chwili najszczęśliwszym był w świecie. Chciwie rzucił się na te pieniądze, schował je w zanadrze, i już dzień świtał, gdy do swej chatki powrócił.

We dwa dni potem, zaledwo słońce zeszło, Jasiek wszedł na podwórze przed chatkę wójta, który właśnie zaprzęgał konie do pługa i wyjeżdżać miał w pole. Rzekłszy: niech będzie pochwalony, z miną odważną, nawet butną, chociaż zawsze w pokorze, mówi: Panie wójcie, czy dotrzymacie mi słowa?—Ja zawsze każdemu dotrzymuję słowa, wójt odpowiedział. Cóż tedy chcesz Jaśku?—Proszę was, panie wójcie, rzekł Jasiek, o radę i pomoc w kupnie gruntu po Kubie Kruku. Mam na to dwieście reńskich, które tu wam składam, jako da Bóg przyszłemu teściowi mojemu.

Zkądże masz te pieniądze, wójt zdziwiony zapytał?—Przecież ani nie kradłem, ani nie rozbijałem, odpowiedział Jasiek, kiedy mam, to już mi ktoś ich dał, ale wam nie mogę powiedzieć kto.

Wójt podumał chwilę, i rzekł nareszcie: Ha, widzę, że taka jest wola Boga, aby moja Zośka była twoją żoną. Ona bardzo jest za tobą, wyraźnie mi to powiedziała, że wolałaby ciebie nierównie, od tego, co jej się teraz trafia. Ale cóż tyś nic niemiał, żona mi pomarła, syn zginął na wojnie, Zosia jedynaczka mi została. Pragnę jej szczęścia nad wszystko na świecie, i rozpłakał się stary.

Odtąd szło wszystko Jaśkowi jak z płatka. Nim jeszcze grunt po Kubie Kruku kupili, już się i wesele odbyło. Wszyscy we wsi mówili, że go Bóg za to bogatą i dobrą wójtowną pobłogosławił, iż był dobrym dla swej matki synem, a wójt umówił się z Jaśkiem, żeby o tych pieniądzach tajemnicę zachować i nikomu o tem nie mówić. Już ja wiem, że albo znalazłeś, co jaki podróżny pan do Tatrów jadący zgubił, albo gdzie wyparpałeś, co kiejś jakiś złodziej zakopał. Niema o czem nikomu gadać, ani ja sam nieciekawy wiedzieć.

Młodzi małżonkowie w błogiem rozpływali się szczęściu. Kochali się jak gołąbki. Wójt złożył swój urząd, i już tylko żył modlitwą, nabożeństwem i szczęściem swych dzieci. W rok potem sute w ich chatce odbyły się chrzciny, które, co się bardzo rzadko we wsi zdarzało, sam ks. pleban swoją przytomnością zaszczycił. Widać ztąd, jaki młoda para w całej gromadzie posiadała szacunek. Dał im Pan Bóg syna, milutką dziecinę. Niewiasty z całej prawie wsi schodziły się składać Zosi życzenia i Jaśkowi także. Ale coś Jasiek niezwykle był smutny. Przymuszał się do wesołości, hojnie uraczał gości przybyłych, ale łzy nie raz cisnęły mu się do oczu, i ktoś zauważał, że sród uczty pobiegł do stodoły, i w głos się rozpłakał. Co to się ma znaczyć? Była to zagadka dla wszystkich nieodgadniona, która nie mogła długo być ukryta przed przenikliwą Zosią. Wkrótce ona to dostrzegła, że niewiedzieć z jakiego powodu dziecię to lube bardzo bolesne na jej mężu sprawiało wrażenie, i chociaż on z płaczem od niej zapytany, wielce temu zaprzeczył, i tem widoczniej odtąd nad sobą panował, jednakże mimowolnie zdradzał się nieraz, że mu ciężki kamień co do tej dzieciny leży na sercu. Kochał to dziecię szalenie, troskliwie rachował ubiegłe jego dni i tygodnie, i parę razy z konwulsyjnem ust drżeniem coś o pół roku przebąknął. Gdy wyszedł dalej od domu, lub wyjechał w drogę, zawsze za powrotem z wielką niespokojnością i z widocznem

niedowierzaniem pytał się wybiegającej przeciw niemu Zosi, czyli się dziecku nie stał jaki przypadek? Wszystkiego tego Zosia sobie wyjaśnić nie umiała.

Już pół roku dochodziło temu dziecięciu, Jasiek widocznie mizerniał i smutniał. Jakaś ciężka zgryzota dolegała mu na sercu. Zosia skrycie nieraz rzewnie nad tem płakała. Gorąco się modliła, zaklinała go, by jej powiedział co mu jest? Czy nie chory? Czy nie ma do niej jakiego niesłusznego żalu? On zawsze najczulej jej odpowiadał, że jest z nią najszczęśliwszy na świecie, sam się nieraz rozrzewnił, ale nic od niego dowiedzieć się nie mogła.

Jednego wieczora już późno w noc, Zosia nakarmiwszy i utuliwszy dziecię mówiła zwykły pacierz wieczorny. Jakiś niepokój, jakieś smutne przeczucie ciężyło jej na duszy. Niewiem co mi dziś jest mój Jasku, rzekła do niego, jakoś dziwnie jestem niespokojna. Czy nas Bóg nie nawiedzi jakiem strapieniem? Zaledwo to wyrzekła, ktoś do okna zapukał. Wybiegł Jasiek. Noc była ciemna, przed nim stanęła jakaś chuda wysoka postać, z pańska ubrana i grubym grobowym rzekła doń głosem: „O pół nocy masz się stawić z dzieckiem na drodze przy cmentarzu. Mój pan odbiera co mu należy. A gdybyś nie stanął, to pamiętaj co z tobą będzie! Natychmiast postać odeszła, a Jasiek stanął przerażony jak wryty. Po chwili wrócił do chałupy. Zosia zmęczona dzienną pracą już zasypiała. On siadł na ławie pod oknem, i zadumał się głęboko. Chciał płakać i nie mógł. Rozpacz nieczułym go uczyniła na wszystko. Niewypowiedziana ogarnęła go trwoga. Pod jej wpływem stał się biernem cudzej woli narzędziem. Siedział nieruchomo długo przy oknie. Północ się zbliża, pomyślał. Zosia twardo spała. Porwał dziecię z kolebki, wybiegł z chałupy i pędził ku cmentarzowi.

Zaledwo tam stanął, widzi powóz pański, karetę całkiem zamkniętą. Ta sama chuda postać co mówiła z nim przed chałupą, otworzyła w milczeniu drzwiczki karety. Jakaś kobieta z karety wyciągnęła ręce, wzięła dziecko od Jaśka, chuda wysoka postać zamknęła drzwiczki, wskoczyła na kozioł, powóz ruszył. Nikt nie przemówił ani słowa.

Czy to sen, czy tak jest rzeczywiście? pomyślał Jasiek przez chwilę, i okropna rzeczywistość stanęła mu na myśli. Cały ogrom jego zbrodni przedstawił mu się. Zdradził Zosię i nieszczęśliwą ją uczynił. Dziecię swe lube djabłu oddał. Niewrócę do domu, rzekł rycząc suchym bezłzawym jękiem, wpadł do najbliższego lasu, rzucił się pod drzewo i długo w bezmyślnym stanie zostawał. Nareszcie nade dniem sen go zmorzył i usnął w wielkiem zmęczeniu.

Wtem ktoś go budzi! Dwóch chłopów z gromady stoją przed nim i groźno wołają na niego. Wstawaj zbóju, chodź z nami, cała wieś rozbiegła się za tobą, gdzieś dziecko podział? Jasiek wstał, nic nie odpowiedział, ponuro tylko w ziemię patrzał. Popchnęli go przed sobą: Ruszaj, zawołali, już tam sąd wydobędzie z ciebie prawdę. I poprowadzili go prosto do więzienia. Nikt z niego słowa nie wydobył, milczał uporczywie.

Siedząc samotnie w areszcie, przemknęła mu się myśl straszna odebrać sobie życie. Ale wspomniał sobie na matkę, na Zosię, na ks. plebana, i tą razą odepchnął myśl tę od siebie.

Tymczasem wieś cała pod najdziwniejszem zostawała wrażeniem. Wszystek lud zgromadził się przed kościół, tam radzili i rozmawiali nad możebnemi przyczynami zbrodni Jaśka. Gdzie on to dziecko podział? pewnie utopił. Dlaczego on to zrobił? Przecież tak się wiernie i szczerze kochali. Zosia w chałupie zanosiła się od głośnego płaczu i rozdzierającego serce jęku.

Wtem wszystkich oczy zwróciły się ku drodze. Przed kościołem stanął piękny pański powóz. Z niego wysiadła milutka młodziutka pani, wdzięcznie ukłoniła się zgromadzonemu ludowi i szybkim krokiem podążyła do mieszkania ks. plebana. Lud chciał rozpocząć mowę z woźnicą, ale ten nie odzywał się ani słowa, nikomu na nic nie odpowiadał. Po półgodzinnej może rozmowie ks. pleban wyszedł z tą panią ze swego mieszkania, wsiadł z nią do powozu i pojechali przed chatkę Zosi. Lud jeszcze więcej był rozciekawiony. Co to wszystko ma znaczyć? I u Zosi dość długi czas zabawili. Ta przestała płakać, wkrótce widocznie uspokojona wyszła z panią z chatki, wsiadła z nią do powozu i gdzieś tam pojechali. ks. pleban zaś poszedł piechotą już do kościoła, odprawić jak zwykle mszą świętą. Lud go otoczył, cisnął się do rąk jego. On mile spojrzał na wszystkich, ale nic prawie nie mówił, szedł milczący i widocznie wzruszony. Przed kościołem obrócił się do ludu i rzekł: Spodziewam się, że wszyscy idziecie na mszę świętą; mamy o co modlić się i za co Boga przepraszać. Po mszy św. kapłan przemówił od ołtarza do ludu, łzy mu z ócz spłynęły. Tyle lat jestem z wami rzekł, a nie znajduję w was tego zaufania, na jakie sobie u was zasłużyć pragnąłem. Lada włóczęga, obieżyświat, niech wam największą niedorzeczność prawi, niech was przeciw Bogu samemu buntuje, to mu uwierzycie i za jego zgubną pójdzcie radą. Najświętsze wasze z łakomstwa sponiewieracie obowiązki, i srogie na siebie sami wywołujecie nieszczęścia i zgryzoty. Ale dobry i miłosierny jest Bóg, i jako najmiłościwszy Ojciec nasz, to co my źle czynimy, na dobre dla nas obraca.— Mowa ta z serca

z wzruszeniem powiedziana wszystkich przeniknęła. Głośno zaszlochał lud cały, kapłan łzy otarł, i odszedł od ółtarza. Wójta i dwóch starszych gminy oraz ojca Zosi kapłan zawezwał do siebie. Co tam z nimi mówił, dla całej gromady pozostało tajemnicą. Na wszystkie ciekawe pytania, jedną od nich otrzymali odpowiedź: Ot, grzesznicy jesteśmy, głupie i ladaco ludzie. Temu wierzymy co nietrzeba a temu nie wierzymy co trzeba. Ale Bóg dobry jest i miłosierny.

Wszystko to dziwne było i niepojęte w oczach gromady. Nikt tego dnia nie pracował, wszyscy chodzili i ciekawie jedni drugich pytali, co to wszystko znaczy, a nikt o niczem nie wiedział.

Niebawem widzieli ks. plebana idącego do Jaśka osadzonego w areszcie. Długo, długo tam z nim rozmawiał. Już przedzwonili na południe w kościele, zanim kapłan wyszedł od niego.

Popołudniu zajechała przed areszt bryczka ks. plebana. Otworzyli drzwi więzienia. Jasiek wyszedł, siadł z ks. plebanem w bryczkę i gdzieś tam pojechali.

Blisko pięć mil od Krzywki piękny był i okazały dwór znakomitego dziedzica, bogatego pana. Młody panicz przed dwoma laty objął te dobra przybywszy z Krakowa, gdzie ojciec jego stale mieszkał i zajął się szczerze gospodarką w swoim majątku. Włościanie w tych dobrach jego bardzo go pokochali i podziwiali rozum, statek i dobroć serca w tak młodym paniczu. Wkrótce po osiedleniu się na wsi, panicz wszedł w związki małżeńskie, i wprowadził w dom swój nadobną i bardzo dobrą panią, którą wnet cała gromada serdecznie pokochała. Ten to młody dziedzic był Jaśka djabłem i dobróczyńcą. Owej nocy gdy go Jasiek przydybał na rozstajnej drodze, nasz panicz właśnie powracał od swej bogdanki. W dniu jej imienin otrzymał jej słowo i zaręczył się z nią uroczyście. Wracając do domu z pierścionkiem od niej na palcu, najszczęśliwszym czuł się na świecie i byłby świat cały do swych piersi przycisnął i uszczęśliwił ile w jego mocy. W takiem usposobieniu zetknął się z Jaśkiem i prośbę jego przyjął jako zrządzenie Boże, by w tym dniu stanowczym dla niego mógł jakiś dobry czyn spełnić i drugich uszczęśliwić. Jednakowoż niechciał tej zdrożności Jaśkowi puścić bezkarnie i zamyślił dać mu dobrą i dotkliwą nauczkę. Opowiedział potem żoneczce swojej o całej tej przygodzie, a gdy ich Bóg lubym pobłogosławił synkiem, rzekł uszczęśliwiony między innemi: Dla tego towarzysza ojczystego legionu mam już gotowego i ciurę. Miał bowiem ciągle na oku Jaśka i wiedział wszystko co się z nim dzieje. Żona jego chętnie podzielała te jego myśli i postanowiono wziąść dziecko Jaśkowi i uwieść do siebie.

Już późnym wieczorem przyjechał ks. pleban z Jaśkiem przed dwór dziedzica. Jasiek nie wiedział ani gdzie, ani po co jedzie. Różne trwożne myśli nasuwały się jemu, ale ks. pleban tak serdecznie, z taką ojcowską dobrocią z nim rozmawiał, że go wszelka odstępowała obawa i nieograniczonego nabierał zaufania.

Wjechali na dziedziniec. Pokoje rzęsisto oświecone. Służba wyszła naprzeciw X. plebana i wprowadziła go, a z nim i Jaśka do salonu. Pan domu mile przywitał swych gości, wybiegłszy ku nim do przedpokoju. A Jasiek gdy go obaczył z tą kozią (hiszpańską) bródką, pomyślał sobie: Istnie to ten djabeł co mi zabrał dziecko.

Poznajesz mię? zapytał mniemany diabeł Jaśka. Jasiek nic nie rzekł, tylko pochylił się pokornie do kolan jego. Pamiętasz tego djabła pod figurą, w nocy na rozstajnej drodze? On srodze tego żałuje, odrzekł ks. pleban i korzy się za ten grzech przed Bogiem.— Oj ciężko zgrzeszyłem, rzekł Jasiek z głębokiem westchnieniem, ale też i ciężko pokutuję— i łzy mu z ócz spłynęły. Były to pierwsze łzy od przeminionej tak nieszczęśliwej dlań nocy. Wtem weszła do salonu pani domu, milutka, młodziutka, powitała ks. plebana, mąż jej wziął ją za rękę i przedstawił Jaśkowi: To moja żona djablica. Jakże ci się podoba? Jasiek nachylił się do jej kolan i pomyślał sobie: To dyć djablica jak anioł. Chwyta za serce, jak moja Zosia.— Pani nic nie mówiąc, wzięła go za rękę, przeprowadziła przez kilka pokoi i wprowadziła do pokoiku gdzie jego Zosia z dzieciną na ręku siedziała. Tam zostawiła ich samych i wróciła do salonu. Wkrótce rozjaśniła się i w umyśle Jaśka cała zagadka. Na drugi dzień gdy ks. pleban wybierał się z powrotem do domu i Jasiek z nim miał wracać, pan żegnając ich, powiedział do Jaśka: Dziecina twoja już do mnie należy. Da Bóg wraz z moim synem wychowywać się i do szkół chodzić będzie. A ty proś Boga, żebyś nie popadł w szpony gorszego jak ja szatana. *X. W. S.*

RÓŻNE RZECZY.

Teatr. Rozpoczynając w przeszłym Nrze *Wieńca* uwagi nasze nad teatrem krakowskim, i wyliczając względy na które przedewszystkiem radzibyśmy zwrócić uwagę Dyrekcyi, na pierwszem miejscu położyliśmy repertoar, — a przechodząc pobieżnie sztuki przedstawione na tutejszej scenie w pierwszej połowie stycznia, powiedzieliśmy z przyjemnością, iż dobór ich wcale był zadawalniający.— W ubiegłych świeżo dwóch tygodniach, dobór ten o tyle był mniej szczęśliwy, że dane w nich przedstawienia zajęły przeważnie dramata, a komedyj widzieliśmy bardzo mało.— Nie jesteśmy bezwzględnemi stronnikami komedyi, ani też bezwarunkowo nie potępiamy poważnego dramatu; może nawet jak na dziś, przechylilibyśmy się na stronę tego ostatniego rodzaju scenicznych przedstawień,—ale dwie są przyczyny, które nas zniewalają do przemawiania ciągle za

komedyą. Pierwsza: że jeżeli u nas dość trudno o dobre utwory dramatyczne w ogóle, to tem trudniej o dobry dramat w ścisłem tego słowa znaczeniu. Druga: że tak rodzaj talentów jak i w ogóle siła dramatyczna towarzystwa krakowskich artystów, mogąc przy pracy dostatecznie odpowiedzieć rozsądnym wymaganiom w komedyi, nigdy nie jest w stanie zadowolnić w dramacie, o czem codzienne niemal doświadczenie jasno nas poucza,—a w czem bynajmniej samychże artystów winować nie można.—Na usprawiedliwienie naszego twierdzenia, zróbmy tylko pobieżny ich przegląd: P. Królikowski wyborny bywa w rolach komicznych, wchodzących w sferę komedyi wyższej—P. Benda, to doskonały trzpiot, pustak, a z niektóremi modyfikacyami niezły kochanek w komedyi — P. Janowski nie popsuje także roli w komice niższej, a szczególniej dobrze gra chłopów, choć trochę za szorstko — Panowie Delchau i Dębicki są to wyłącznie już komicy—podobnie i p. Wisłocki.—Z artystek grze panny Hofmann mieliśmy już sposobność oddać zasłużoną pochwałę w kilku komedyach, chociaż talent jej sięga i w dziedzinę poważnego dramatu—Panna Biedrońska celuje w rolach naiwnych, które daleko częściej trafiają się w komedyi niż w dramacie — Panna German, mianowicie w *Damach i Huzarach*, okazała również talent komiczny — Pani Bendowa także w komedyi daleko stósowniejsze dla swych zdolności znajduje pole—Pani Krajewska nawet w traicznych rolach trąca o komikę. — Obok takich sił, które w gronie artystów naszych znajduje komedya, cóż dramat wykazać może?—Najsilniejszą jego podporą jest znów bez wątpienia panna Hofmann—panna Biedrońska w odpowiednich swemu usposobieniu rolach wspomagać ją może—panna German przy większem wyrobieniu mogłaby także dramatowi w pewnym kierunku oddać nie małe przysługi, jak o tem przekonaliśmy się, widząc ją w roli Seweryna w *Córce Miecznika*, którą odegrała z wielką energią i siłą.—Gorzej całeko rzecz się ma z mężczyznami,— tutaj bowiem (nie mówiąc o poczynających dopiero artystach, którym nie myślimy przesądzać rodzaju talentu jaki u nich kiedyś rozwinąć się może) do dramatu jeden tylko p. Królikowski właściwie się kwalifikuje. O panu Królikowskim, który będąc reżyserem a przytem najwytrawniejszym w całem gronie artystą, jest instruktorem a zarazem wzorem na który młodzi jego towarzysze zapatrują się, pomówimy później nieco obszerniej, i pozwolimy sobie rzucić mu kilka uwag, które mamy nadzieję, zechce przyjąć tak szczerze i otwarcie, jak mu uczynione będą. Toż samo rozumiemy i o wszystkich innych artystach.—Na ten raz szczupłość miejsca a obfitość materyi nad niczyją grą szczegółowo szerzyć się nam nie da—powtarzamy więc tylko w ogóle, że do dramatu z całego męzkiego personalu sceny naszej, jeden tylko p. Królikowski właściwie się kwalifikuje. Inni artyści występują w dramacie, bo muszą, bo innych niema; silą się nieraz niesłychanie, niektórzy miewają czasem szczęśliwe nawet miejsca w grze swojej, — ale to wszystko nie wystarcza, nie może wystarczyć, zadowolnić, — i każdy dramat na scenie naszej musi kuleć i kuleje też rzeczywiście. Dla artystów dramatycznych nie da się w żaden sposób zastósować systemat prosperujący dotąd w pewnem wojsku, gdzie np. muzyka z powołania przeznaczają na szewca, a szewca póty biją póki nie zagra na klarynecie.

Co jeszcze przemawia i to niepospolicie za komedyą na naszej scenie, to wystawa. Wystawa porządna dobrej komedyi, jest zawsze łatwiejszą i mniej kosztowną, niż wystawa choćby lichego dramatu;—owszem dramat im lichszy, a takich mamy najwięcej, tem bardziej potrzebuje zewnętrznemi sztukować się efektami Są dramata jedynie dla wystawy pisane, a i takie widzieliśmy obecnie na naszej scenie.— Weźmy np. dramat: *Biedna czyli dziewczyna z gór;* 5cio aktowy ten gmach, sklecony jest głównie dla aktu 2go przedstawiającego scenę wśród alpejskich śniegów, spadnięcie lawiny i zasypanie nią chaty. Zapewne, w teatrach paryskich, rozrządzających olbrzymiemi środkami mechanicznemi i odpowiedniemi funduszami pieniężnemi, scena ta posunięta do wszelkiego możliwego kresu złudzenia, może robić ogromny efekt na widzach chciwych silnych wrażeń zewnętrznych, — może się zaiste w *Paryżu Francuzom* podobać. Ale na teatrze krakowskim rzecz miała się wcale inaczej. Dyrekcya, przyznać to każdy musi, zrobiła wszystko co tylko mogła, zrobiła powiemy nieledwie więcej niż mogła, aby podnieść tę scenę.— Całą dekoracyą kazała malować nową; stoczyła, jesteśmy pewni, Herkulesowy bój z niedołężnością maszyneryi i maszynistów; wyłożyła, stosunkowo do warunków w jakich stoi, grosz na to niemały, — i smutno, przykro powiedzieć: wszystko nadaremnie.—Na malowanie podobnej dekoracyi nie wystarczył talent pana Siwerta—dziecińslwo maszyneryi pozostało zupełnie widoczne, posunięte do śmieszności, i z całego tego aktu zamiast pożądanego rezultatu, uczyniło rodzaj szopki czy jasełek, na które żal się Boże tyle nakładu.—Nie robimy bynajmniej zarzutu Dyrekcyi z tego, że nam w tym razie nie dała wystawy, jaką dają teatra paryskie. — Broń Boże! Owszem powtarzamy, iż zrobiła prawie więcej niż mogła i niż nam żądać po niej wolno—ale wolelibyśmy, żeby ta jej dobra wola, ta staranność, w inny zwróciła się kierunek, i żebyśmy raczej widywali na scenie naszej sztuki mniejszej potrzebujące wystawy, wystawione dobrze, porządnie i czysto, co też na przedstawieniach komedyj prawie zawsze ma miejsce,— aniżeli sztuki wymagające wystawy wielkiej, czasem nią samą stojące, których przy największych wysileniach i ofiarach ze strony Dyrekcyi, wystawić u nas zadowalniająco nie podobna.—I tak, schodząc do praktyki, tą razą wolelibyśmy żeby za pieniądze, które kosztowała owa nieszczęśliwa dekoracya alpejska do *Dziewicy z gór*, Dyrekcya poleciła była odnowienie, odczyszczenie niektórych dekoracyj starych, dobrych a nawet bardzo dobrych, ale zszarzanych już mocno; gdyby była np. kazała odświeżyć ów niebieski pokój, tak często potrzebny i używany, a tak fatalnie brudny i pokiereszowany, że za każdą razą robi wrażenie okropnej pustki i opuszczenia, i chyba do *Berka zapieczętowanego* kwalifikować się może; — użyty zaś jako mieszkanie takiej np. Adryanny Lecouvreur, gwałtu krzyczy w niebogłosy.—

Wracając się jeszcze do repertoaru, wymienimy tutaj sztuki, które go głównie od połowy tego miesiąca składały; byłyto dramata: *Bracia Strawińscy— Dziewczyna z gór— Balwierz Napoleona— Adryanna Lecouvreur— Kabalarka— Córka miecznika;* komedye zajęły dwa jedynie przedstawienia, i to jedno przypadkowo tylko, kiedy z przyczyny słabości pani Miłaszewskiej, grano trzy znane sztuczki: *Berek zapieczętowany — Panny Konopianki* i *Nowy Rok*; drugie, na którym dano świeżo z francuskiego przełożoną komedyą: *Porywczość charakteru kapitana Tic (Tik).*— Powiedzieć jednak trzeba, że na wybór tego repertoaru, wpłynął tą razą pobyt w Krakowie pani Miłaszewskiej, której pole popisu głównie leży w rolach traicznych, a jej *force* rolą jest Adryanna Lecouvreur. Jakoż w dramacie tym, w niektórych zwłaszcza miejscach, pani Miłaszewska stanęła bardzo wysoko. Talent jej w ogóle celuje w scenach czysto uczuciowych, jak np. w scenie rozpaczy, kiedy Adryanna sądzi się być zdradzoną przez Maurycego.—Mniej siły okazała w scenie nocnej w pałacyku panny Duclos, gdzie spotyka i ratuje swoję rywalkę; równie jak w scenie deklamacyjnej na wieczorze u księżnej de Bouillon. Za to ostatnia scena, scena śmierci Adryanny, była po mistrzowsku oddana. Widzieliśmy w niej całą prawdę konania bez wstrętu i odrazy, jakie wzbudzać zwykło. Pani Miłaszewska umiała tutaj z naturą pogodzić wymagania estetyki — i stwierdziła w praktyce to, cośmy w teoryi wyrazili, jako niezbędne prawidło dla tych, co na imię artystów rzeczywiście zasłużyć pragną.—

Komedya: *Porywczość charakteru kapitana Tic* (Les vivacités du capitaine Tic) którą poprzedziła pewna reputacya, jaką sobie zrobiła na teatrach paryskich, jest jednym więcej dowodem, jak dalece bacznym być trzeba w przyswajaniu naszemu językowi utworów obcych, i jak dalece to co się podoba w Paryżu, może *(o horror!)* nie znaleść powodzenia w Krakowie. I nic dziwnego: wdzięk tej komedyi, nie osnowanej na żadnej intrydze, w oryginale polega na samej dykcyi, na pięknych zwrotach, na grze wyrazów, których w żaden sposób w drugim języku oddać niepodobna. Dodajmy do tego, że komedya ta grana przez Francuzów, ze zwykłą im lekkością i żywością, dawana jako trzecia a czasem nawet i czwarta sztuczka dopełniająca przedstawienia, mogła na chwilę zająć i zabawić kilku zręcznie ułożonemi scenami, które szybkością gry zbliżyły się do siebie i złożyły niby jednę lepszą całość; mogła też zostawić po sobie inne wrażenie niż u nas, gdzie zajęła całe przedstawienie, a ni treścią, ni nawet rozciągłością wypełnić go nie mogła. Tłómaczenie nie przyczyniło się bynajmniej do podniesienia jej wartości; raziły w niem dość częste grzechy przeciw językowi — a wyraz: *seryalny,* mający znaczyć francuskie *sérieux*, tylekroć się powtarzający i stanowiący jeden z głównych akcentów komicznych w tej sztuce, najnieszczęśliwiej stworzony został. Jeżeli co, to mógłby on znaczyć coś należącego do pewnej *seryi*, ale nigdy coś poważnego, co zwykliśmy na-

zywać utartym choć cudzoziemskim wyrazem: *seryo*. — Mimo tej słabości przedstawionego utworu, wieczór ten zeszedł nam wcale przyjemnie, dzięki wybornej grze wszystkich artystów. W rolach mniej więcej komicznych, byli oni tu wszyscy na swojem polu, dlatego i w każdej pojedyńczo roli był charakter i pewne wykończenie,— i w całości przedstawienia była ta okrągłość, ta harmonia, ta pełność, która jest zarazem skutkiem i dowodem trafnego zastósowania i podziału sił artystycznych, i do której każda Dyrekcya teatralna ostatecznie dążyć powinna.

Z podróży około świata.

Nowa expedycya do Szpitzberga podjętą została zeszłej wiosny pod przewodnictwem p. Torrela, zkąd w miesiącu wrześniu wróciła do portu Tromsöe w Norwegii. Torrel przywiózł ztamtąd zbiory ciekawe dla geologii, botaniki i zoologii, wydobyte żywe skorupiaki i mięczaki z głębokości morza wynoszącej 1000 do 1300 sążni.

Morze Polarne czyli Lodowate. Dr. Flayes, towarzysz Ranego, w drugiej wyprawie jego na morze polarne w r. 1853 do 1855 podjętej, wyjechał 7 lipca 1860r. ze Stanów Zjednoczonych ku północy; pragnął on zarazem dwa rozmaite dopiąć cele,—chciał dostać się do bieguna północnego i dowieść istnienie wolnego morza polarnego. Wiadomo nam atoli ze sprawozdań wszystkich żeglarzy, którzy zwiedzili strony podbiegunowe, że w tamtym oceanie, w wielu miejscach formują się czasowo większe lub mniejsze koryta wodne, które jednak po krótkiem trwaniu napowrót lodem się zapełniają, tak że im nigdy ufać nie można; wszystkie więc usiłowania dla osiągnienia bieguna północnego pełznąć muszą nadaremnie. Lody tam nagromadzone nie tworzą tak silnej i jednostajnej drogi, by ją sankami zaprzężonemi psami lub renami objechać można, okręty zaś nie mogą puścić się na ocean, który przedstawia obszerne pole, gdzie lód, kry lodu, góry lodowate, pola lodowe i ogromne bryły lodu, ciągleby ich bieg tamowały. Tak więc biegun północny, równie jak i biegun południowy, zostanie dla nas wieczną zagadką. Dr. Flayes, który z tak wielką otuchą podjął expedycyą swoję, nie znalazł ani morza polarnego otwartego, ani też dotarł do bieguna, gdzie prawie pół wieku wcześniej Edward Pazzy dostać się usiłował.

Liczba ogólna duchowierców w Ameryce. Czwarty rocznik sprawozdań spirytualistów wyszedł właśnie z druku; zawiera on rozmaite wykazy statystyczne, według których liczba zwolenników spirytualizmu (pukających duchów) w Stanach Zjednoczonych i ztąd literatura błędnych wykroczeń ducha, znacznie się pomnożyła. Liczba wyznawców spirytualistów dochodzi w Stanach Zjedn. do 1,537,000. W Kanadzie, na wyspie Kuba i w Ameryce południowej do 63,000 członków, razem więc 1,600,000. — Gdy jednak autor tych wykazów statystycznych nie przytacza źródeł, zkąd je czerpał, przypuszczać zatem wolno że przesadzone— gdyż trudno pomyśleć, że przeszło 1½ miliona istót obdarzonych zdrowym rozsądkiem, zechce służyć za igraszkę kilku fanatyków lub szarlatanów. Sprawozdania te podają jeszcze dalej: że w tych krajach istnieje 226 osób w stanie zachwycenia pomiędzy ziemią i duchami osób zmarłych, tak zwanych *medium* pośredniczych; inne zaś osoby, których liczba dochodzi do 303, posiadają dar leczenia chorób.

Kobiety Europejki, nie są w stanie znieść klimatu głębszej Afryki. Przybywszy tam, albo muszą uciekać napowrót żeby nie popaść zabójczej febrze zółtej, albo pozostawszy, paść jej ofiarą.

Ztąd pochodzi, że mężczyźni Europejczycy tam zamieszkali, brać muszą za towarzyszki życia czarne kobiety— i cieszyć się dziećmi brunatnej barwy to jest: *Mulatami.*

Najpiękniejszą kobietą w świecie według dzienników francuskich była Paula de Vigniez żyjąca za czasów Petrarki. Francuscy i włoscy autorowie opisują ją jako arcydzieło przyrody. Kiedy się ukazała na ulicy w Tuluzie, rodzinnem mieście swojem, całe tłumy ludu, mężczyźni i kobiety, młodzieńce i dziewczęta biegały za nią, nie mogąc nasycić się jej widokiem. Parlament tuluski obawiając się z tego powodu rozruchów, prosił pannę Vigniez, ażeby bez zasłony nie wychodziła na miasto— to jednak rozjątrzyło ludność tamtejszą do tego stopnia, że się odgrażała, iż użyje przemocy, jeżeli ją pozbawią widoku najpiękniejszej kobiety na ziemi.— Parlament wydał więc rozkaz, by Paula dwa razy w tygodniu ukazała się w oknie bez zasłony. — Te wdzięki jej niepospolite pozostały prawie niezmienne aż do 80ciu lat jej życia.

Wiadomości bibliograficzne. Redaktor *Gwiazdki Cieszyńskiej* pojmując obowiązek swego stanowiska, zamierzył rozszerzyć ramy swego dziennika i w tym celu odezwał się do Galicyi o pożyczkę 2500 fl. w. a. potrzebnych na kaucyą. Wschodnia Galicya pojmując ważność tej sprawy, złożyła przypadającą na nią część — ale co jest dziwniejszem, i czego nawet zrozumieć trudno, w zachodniej Galicyi wszelkie w tej mierze poczynione kroki okazały się bezskutecznemi — znaleźli się wprawdzie i chętni, ale znaleźli się i tacy, którzy dla niewiadomych i niepojętych przyczyn, nietylko że w niczem do składki się nie przyczynili, ale nawet odmawiali chętnych. . .

A jednak redaktor Gwiazdki Cieszyńskiej miał pewne prawo odezwać się do Galicyi: Przed kilku bowiem laty, kiedy poczciwi chłopi szląscy dowiedzieli się, iż na wybudowanie domu dla Towarzystwa naukowego krakowskiego potrzeba znacznych funduszów, sami ofiarowali składkę. Ubożuchna to była składka, bo i mieszkańcy byli ubodzy, ale wykazuje ona ich uczciwość i pojęcie potrzeb ogółu; Galicya zatem zaciągnęła dług wdzięczności względem Szląska— ale niestety! kiedy się przyszło z niego uiścić, okazała smutne bankructwo moralne!

Nakładem Zygmunta *Gerstmanna* w Bruxeli wychodzi **Biblioteka domowa,** będąca zbiorem znakomitszych utworów piśmiennictwa polskiego, dawnych i nowych: Niemcewicza, Potockiego, Hofmanowej, Chołoniewskiego, Jaraczewskiej, Kraszewskiego, Wojnarowskiej, Chojeckiego, Kosińskiego itp. Biblioteka ta składać się będzie z 45 do 50 tomów w 8ce, każdy tom od 250 do 400 stronnic. Cena tomu *dwa franki* w kraju i za granicą. Każde dzieło sprzedaje się oddzielnie. Obstalunki mogą być zamawiane u wszystkich znaczniejszych księgarzy. Co miesiąc wychodzi dwa lub trzy tomy. Dotychczas wyszło jedenaście następujących: Tom 1. *Jeremi Wiśniowiecki*, sceny dramatyczne z XVII wieku str. 234.—Tom 2. *Drezno i jego okolice*, przez Klementynę z Tańskich Hofmanową, z 45 drzeworytami str. 301.— Tom 3. *Do matek polskich*, przez autorkę Pierścionków Babuni (Karolinę Wojnarowską) str. 308.—Tom 4 i 5. *Pamiętnik Oryginała*, przez * * * str. 373 i 216. — Tom 6 i 7. *Święte Niewiasty*, obrazki pobożne, kobietom żyjącym na świecie ofiarowane przez Klementynę z Tańskich Hofmanową, str. 288 i 325.— Tom 8 i 9. *Pisma pośmiertne*, ks. St. Chołoniewskiego str. 326 i 284.— Tom 10 i 11. *Filozofia nie filozofia w bajkach*, przez Władysława Miniewskiego, str. 179 i 192.

Znaczenie Rebusa w przeszłym Numerze: *„Wyścigi końskie to igraszka panów, a więcej nic."*


Sprostowania do Nru Igo.

Karta 5 wiersz 22, czytaj: winogrład zamiast *winogród;* karta 5 w. 43 czyt. zarumienienia zam. *zarozumienia* — karta 6 w. 14 smętne z. *smętnie*— karta 6 w. 34, w główných z. *w słownych*— karta 6 w. 61, miały z. *mają* — karta 7 w. 17, Danielów z. *Duelinów*—karta 8 w. 64, czytaj wszędzie Bachowski z. *Buchowski* — karta 9 w. 32, arteryą z. *materyą* — karta 9 w. 93 opuszczono św. Jacka— karta 10 w. 38, dodającą z. *dodającej.*

Polski w Obrazach przerwanej w tym numerze, dalszy ciąg nastąpi w przyszłym i w dalszych.

GOCZAŁKOWSKA JULIA Redakt. odpowiedz.— Nakład Redakcyi.— Druk „Czasu" — Rząd. drukarni ANT. ROTHER

WIENIEC III.



połowa kołnierza
środek tyłu
Futro
środek
okładanie
Aksamitka
środek kołnierza

WIENIEC IV.


33.
1.
3.
16.
4
15.
20.
12.
13.
92.
10.
27.
5.
2.
35
10.
91.
90.
6.
34.
28.
B
F
H
G
H
K.
B
L.
J.
Helena
A.
D.
D.
E.
C.
REBUS.
nie 1